



SKAMANDER

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LIPIEC — WRZESIEŃ 1938

3

TREŚĆ ZESZYTU
DZIEWIĘCDZIESIĄTEGO SZÓSTEGO —
DZIEWIĘCDZIESIĄTEGO ÓSMEGO

Pochwała człowieka miecza — WOJCIECH BĄK	131
Rudy — ANDRZEJ WOLICA	132—151
Puszcza — ADOLF SOWIŃSKI	152
Wspomnienie z wycieczki — MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA)	153
Iwona, księżniczka Burgunda Akty trzeci i czwarty — WITOLD GOMBROWICZ	154—179
Trzy fragmenty z poematu „Krajobrazy” — ZUZANNA GINCZANKA	180—182
„Ferdynand” — BRUNO SCHULZ	183—189
Przegląd teatralny — IRENA KRZYWICKA	190—192

Okładka JADWIGI HŁADKÓWNY

Redaktor: MIECZYŚLAW GRYZDEWSKI

Wydawcy: ANTONI BORMAN i MIECZYŚLAW GRYZDEWSKI

Redakcja: Warszawa, Złota 8 m. 10, tel. 242-82, poniedziałki, czwartki od 17—19
i wtorki od 11—12

Administracja: Królewska 13, tel. 223-04, codziennie od 9—19

Konto czekowe 8.515

Zeszyt pojedynczy zł. 2.50, dla prenumeratorów „Wiadomości” zł. 1.50

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. — Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony.

Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów

SKAMANDER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

ROK DWUNASTY
TOM DWUNASTY

LIPIEC—WRZESIEŃ 1938
ZESZYT XCVI—XCVIII

SKAMANDER

MIESIĘCZNIK ROZTOYCKI

WYDAWCA: ZAKŁAD DZIAŁALNOŚCI KULTURNEJ
WARSZAWA, UL. KRZYSZTOFA PIŁKI 10

W tym numerze: *[Faint, illegible text]*

ROK DWUNASTY
ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-ka WARSZAWA
LXII-XLVIII

POCHWAŁA CZŁOWIEKA MIECZA

Gdzie stanie — jakbyś okno na ogród otworzył
I zapach kwiatów płynie wiosennem powietrzem
Oto idzie przez pola. Szum go wita brzozy
I powiem o troskach roślinnych mu szeptem.

Wrogi małym krętaaczom — bliski ludziom prawym,
Przystanął ponad rzeką i rzeka go kocha,
Bo kiedy z mostu falom cieniem się objawił,
Nie kryjąc swego smutku, jak przyjaciel szłocha.

Dłoń jego, nie splamiona nigdy podłą bronią,
Jest miła sierści zwierząt i czuprynom dzieci —
Oto żrebak przybliży się ku jego dłoniom
I chłopiec w kusych spodniach ku niemu podleciał.

Oczy jego otwarte do głębi — i rzeczy
Chętnie się odbijają na jego źrenicy —
Lecz nikt się nie domyśla, że jest ludzkim mieczem
W uścisku nietutejszej, wysokiej prawicy.

Gdy spotka nas, nie wiemy, czemu cios po ciosie
Po naszych wrogich sercach, po hańbie człowieczej —
I oddech nasz wolniejszy — i światło w nas rośnie,
A to on bije mieczem, niewidzialnym mieczem!

Wojciech Bąk

Jak wiecie, utykam nieco na lewą nogę. Umiem przecież to zręcznie maskować. Potrafię chodzić tak że tylko bystre oko szczonego agenta policyjnego odkryje ten drobny defekt. W tłoku ulicznym wielkiego miasta, wmieszany w tłum przechodniów, nie zwracam niczyjej uwagi. Szare palto, miękki, filcowy kapelusz, teka, czasem szerokie rogowe okulary — nierówny prędko chód mieszkańców wszystkich stolic.

To wszystko zresztą było już dawno, w zapomnianej, zasypanej śniegiem epoce. I tu w Z. pada śnieg. Teraz i wczoraj i jutro. Ulicę miasteczka wydłużają się, błyszczą w słońcu. Agata uśmiechnięta i tłusta tkwi przy kuchni, a ja przeciągam się leniwie. Krzywię się na woń przypalonego naleśnika, otwieram okno i patrzę przez gęste płaty śniegu w miasteczko. Uśmiechamy się do siebie, i jest nam dobrze. Niemiła woń tłuszczu, płynąca z kuchni, wygania mnie na świat Boży. Idę powoli. Od lat już nie mam dokąd i poco się śpieszyć. Utykam swobodnie, otwarcie, znajomym, umianym od lat napamięć ludziom kłaniam się spokojnie i bez pośpiechu. Agata na odchodnym ciska za mną z okna:

— Obiad dziś o pierwszej, święto przecież.

W nocy był halny, brnę w nawianym śniegu do kawiarni, gdzie od dziesięciu lat gazety i kawa. Spotykany po drodze Pawłowski pyta pogodnie: „Jak noga?”. Od dziesięciu lat pyta codziennie o to samo i tak samo. Intonacja jego głosu nie zmienia się ani trochę. I wcale mnie to nie drażni. Odpowiadam różnie, i czasem idziemy razem kawałek drogi. Przed kawiarnią żegnamy się. Jeśli wspomina o tem, to dlatego, że dziś właśnie nie spotkałem Pawłowskiego. W ciągu tego dziesięciolecia zdarza się to po raz trzeci. Wstyd przyznać, że brak mi trochę jego ukłonu i pozdrowienia. Wiem, że kawa nie będzie mi już dzisiaj tak dobrze smakowała, że gazeta nie będzie ciekawa i że będzie mnie bolała noga. Chociaż teraz wcale jeszcze nie boli. Może dlatego wybieram trochę dalszą drogę. Oglądam się czy go nie widać.

Omyliłem się. Kawa smakuje jak zawsze a z gazet przemawia obcy, daleki świat, zapomniany już, jakby przeżyty w dawnym, zakoń-

czonem tragiczną sprawą życiu. Niewiadomo już, kiedy to było i dlaczego...

Szóstego stycznia. W życiu naszego miasteczka wszystkie daty są obojętne i niepotrzebne. Dziś o dwunastej minie dziesięć lat. Od wczoraj już o tem myślę i starannie to myślenie przed sobą ukrywam. Małe Agaty obrabują dziś choinkę, którą ustroiliśmy dla nich na święta. Wieczorem przyjdą chłopcy z miasteczka z kolendą. Kiedym tu przyjechał, byli Wojtaliki i Franek Koželuch i inni. Dziś dorośli mężczyźni. Ojcowie, gospodarze, panowie na swoim. Pamiętam jeszcze ich cienkie rwące się głosy, wydzierające się z kolendą. I pierog, który im wyniosła Agata. Tak, panie Wojtalik, to właśnie pan śpiewał piskliwie: „Bóg się rodzi... moc truchleje”...

Gdy wypisywali mnie ze szpitala, chirurg, dr. Kwaśny, powiedział: „Myślę, że będzie pan przez pewien czas utykał. I tak dobrze, że uratowaliśmy nogę. Po takim zmarznięciu”.

To było w okresie mojej wiejskiej roboty. Dziesiątki kilometrów pieszo. Zawsze nocami. Zgarbiony inteligent z miasta, nieporządnie i niedbale ubrany, łyskający szklami binokli. I to była właśnie ostatnia wyprawa przed tamtą sprawą. Znowu ten zapach spalonego tłuszczu. Wącham własne palce. Pachną tytoniem i mydłem i jeszcze czemś nieokreślonym, czego nie umiem nazwać. Może to jest właśnie zapach tamtej krwi, zakrzepłej przed wielu laty. W kancelarii szpitala czekał na mnie niewielki przekaz pieniężny i list. List był sprzed czterech tygodni. Do dziś nie wiem, dlaczego nie doręczono go wcześniej. Pisał go dawny sympatyk, dziwak i gruźlik Florjan Szklity. Wtedy nie pojechałem jeszcze do Z. Nawet nie odpisałem na list. Dopiero po tamtej sprawie, po długim czasie przypomniałem sobie o nim.

Kiedy tu przybyłem, wskazano mi mogiłkę na miejscowym cmentarzu. To było wszystko co zostało po Szklitym. Kazano mi iść do miejscowego rejenta, śmieszny pan odczytał uroczystym, wzruszonym głosem legat. To wszystko było dziwne i niezrozumiałe. Szklitego znałem mało, właściwie zetknęliśmy się dwa albo trzy razy na jakiejś konferencji. Nie wiedziałem nawet, że znał moje nazwisko. O moich perypetjach słyszał chyba, i sądziłem, że pogardza mną podobnie jak inni. Zrobiło mi się przykro, że nie przyjechałem od razu po wyjściu ze szpitala. Myślałem że wtedy żył jeszcze i możnaby wiele spraw wyjaśnić. Data śmierci wyryta na mogiłce rozwiała moje złudzenia. W dniu kiedy otrzymałem przekaz i list w szpitalu, Szklity już nie żył. I choć to całkowicie usprawiedliwiało moją obojętność i milczenie, nie było mi przecież przez to mniej przykro i bolesnie. Umierał samotnie, nie wiem czy miał kogoś bliskiego, i nigdy się o tem nie dowiem.

Pan rejent mówił uroczyście: „Tę sumę, powstającą z procentu od kapitału (nieboszczyk kazał wszystko spieniężyć), będzie pan otrzymywał dożywotnio, wypłacaną co miesiąc. Po śmierci pana będzie ona

użyta na wieczyste stypendjum dla uczniów miejscowej szkoły zdobniczej. Taka była ostatnia, zeznana przede mną w obecności świadków wola zmarłego". I przetań szklą i łysinę.

Zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno. Z tych słów powiało na mnie grobem, szarzyzną samotnego życia w tem małym miasteczku. Męką. (Wtedy bardzo się jeszcze bałem samotności). I już wtedy odrazu wiedziałem, choć to wcale nie było warunkiem legatu, że nie wyjadę stąd nigdy, że pozostanę na całą resztkę życia. Nie myślałem tylko że będzie to tak długo trwało. Żyję więc kosztem uczniów miejscowej szkoły zdobniczej. Ilekroć mijam któregoś z tych wesołych rumianych chłopców, wydaje mi się że czytam w jego oczach oczekiwanie na moją śmierć, na koniec tego życia na kredyt.

Wypłacono mi wtedy odrazu większą sumę za zaległe miesiące mojej tułaczki po świecie, pensję za tamten najtrudniejszy okres mojego życia, który chciałbym pominąć i przemilczeć. Nie myślałem nigdy, że ktoś mi będzie za to wszystko płacił. Tak głosił legat. Nigdy w życiu nie miałem takiej sumy pieniędzy naraz. I nigdy nie były mi mniej potrzebne. Chociaż nie, kłamię, nie mówię tego jasno. Byłem przecież wtedy bez grosza. Idzie raczej o to, że wtedy nie myślałem zupełnie o pieniądzach, ani o tem, „co będzie jutro". Lata tamtego życia odzwyczyły mi od takich myśli. W więzieniach pieniądze nie są potrzebne, na wolności na chleb, tytoń i koleje prawie zawsze miałem. Nie myślałem nigdy skąd się biorą. Tak było zawsze. Tego wymagała Sprawa.

Długo i niepotrzebnie liczyłem szeleszczące banknoty. Wielkie musiało być moje zamyślenie, skoro pan rejent uznał za konieczne trącić mnie delikatnie w ramię i powiedzieć: „Niechże pan przecież je schowa". Tak, przypominam sobie wyraźnie; nie miałem nawet wtedy portfela, i kiedy je włożyłem do bocznej kieszeni marynarki, pocziwy urzędnik spojrział na mnie jak na warjata.

Siedzi teraz blisko mnie w naszej wspólnej kawiarni, gdzie schodzimy się codziennie przed południem na gazety, i uśmiecha się łagodnie. Czy pamięta jeszcze tamte czasy? Kłaniamy się sobie codziennie, niekiedy zamieniamy kilka słów lub gramy partję szachów. Cóż wiemy o sobie, obcy, dalecy ludzie, siedzący przy jednym stoliku, cieszący się śniegiem, słońcem i pogodą. Cóż wiemy o wszystkich dawnych, minionych w rozpędzie młodości, cóż wiem o Florjanie Szklitym, który z za grobu wyrokiem ostatecznym i surowym skazał mnie na dożywotnie tutaj więzienie.

Nie chce się opuszczać odświeżonej i pachnącej ulicy. Myślę z przyjemnością, że to jeszcze prawie godzina do świątecznego obiadu i że właśnie teraz o dwunastej mija dziesięć lat. Kroczę sztywno i powoli, możnaby powiedzieć — uroczyście, święcąc samotnie ten pierwszy jubileusz mojego życia.

Do dziś nie wiem, dlaczego wstąpiłem do korzennego sklepu Kir-

sta. Jowjalny, pulchny staruszek w skórzanym fartuchu powitał mnie jak zawsze uprzejmie. (Grywaliśmy niekiedy w preferansa, rzucając groszowe stawki gestem krezusów). Kiedy poprosiłem o butelkę dobrego wina, zdziwił się i nie krył wcale swego zdziwienia.

— Czy ma pan gości?

Nie, nie miałem gości. W każdym razie w tej chwili byłem o tem najzupełniej przekonany. A przecież naturalnie i bez namysłu powiedziałem:

— Tak, odwiedził mnie pewien dawny stary przyjaciel.

W sklepie panował korzenny, duszący zapach, może to były suszone grzyby, kawa czy gałka muszkatołowa — zapach dzieciństwa, dzierzawionego na kresach folwarku, mrozu, gości zakutanych po same uszy w ciężkie futrzane szuby, suszących się po spiżarniach jabłek — i powtórzyłem raz jeszcze:

— Stary, dobry przyjaciel. Przyjechał dziś rano.

Pan Kirst zawinął butelkę i wydając resztę uśmiechnął się przyjaźnie. Zrobiło mi się przykro, że niepotrzebnie i bez celu okłamałem staruszką. Uścisnąłem mu z wylaniem rękę, dziękowałem gorąco i beładnie i wyszedłem. Czułem za sobą jego wzrok i wiedziałem, że był bardzo zdziwiony. Przyśpieszyłem kroku, tak jakby naprawdę oczekiwał w domu ktoś bardzo stęskniony i bliski.

Nic się nie stało Pawłowskiemu, spotkałem go w drodze powrotnej. Już zupełnie uspokojony wracam do siebie.

*

Muszę tu jeszcze wyjaśnić kim był Jasny wtedy gdy go znałem. W hierarchji naszej zajmował stanowisko wysokie, może nawet kiedyś najwyższe. On wiedział o nas wszystko, my o nim nic lub prawie nic. Zjawiał się i znikał nieregularnie, okresy jego pobytu w kraju znało niewielu, ani wtedy, ani dziś nie potrafię nic o jego życiu powiedzieć. Plotek krążyło mnóstwo, ale nie chcę tu ich powtarzać. O Jasnym mówiło się od zawsze, i nawet najstarsi z moich ówczesnych przyjaciół mówili, że on był jeszcze przed nimi. Wiedział o każdym naszym kroku, o wahaniach i trudnościach, o doli naszego zwykłego człowieczego życia. Umiał nie korzystać z tej wiedzy. Zdawało się, że kolekcjonuje ją wyłącznie dla siebie jak zbieracz namiętny i cierpliwy. W naszych oczach Jasny był wzorem bojownika. W okresie poprzedzającym mój upadek, zwątpienie i mizantropję, przez pewien czas spotykałem się z nim często, i dużo przebywałem z nim razem. Spokojny i uważny, nie zdradził się nigdy, nie uniósł gniewem i nie podniósł głosu. Przemierzaliśmy wtedy kraj, jeździli wspólnie zagranicę, spotykali się z wielu różnymi ludźmi. Fala rewolucyjna wznosiła się wysoko, dni były pełne grozy i patosu, i zdawało się, że jeszcze chwila a znajdziemy się u szczytu. Zwycięstwo było wyraźne i bliskie. Promieniałem. On był jednakowo spokojny, suchy i zrównoważony. Czytywał dalej uważnie sprawozda-

nia, robił notatki, mył zęby dokładnie i długo higieniczną angielską szczoteczką, palił mocne papierosy i pił przesłodzoną brunatną herbatę.

Rozdzieliło nas życie i lata. I suchy nakaz partyjny. Jasny pożegnał mnie zwykłym uściskiem dłoni. Powiedział:

— Dowidzenia.

Po raz drugi i ostatni spotkaliśmy się w etapowym więzieniu w P. Gdy wprowadzono mnie do celi, zajmowanej przez pięciu towarzyszy, przedstawił mi się wraz z innymi, jak gdyby mnie nigdy przedtem nie widział, i wrócił do czytanej książki. Nazywał się tutaj Wieczorek. To było jedno z jego wielu fałszywych nazwisk. Nie spojrzął na mnie porozumiewawczo, nie mrugnął okiem, nawet mnie z ciekawością nie obejrzał. Ta właśnie ostantacja zdradziła go przede mną. Milczałem i ja. W życiu więziennym nie wyróżniał się niczem. Był jak wszyscy starzy więźniowie spokojny i milczący. Palił machorkę i pił cuchnącą więzienną kawę. Po kilku dniach zdarzyło się tak że zostaliśmy sami w celi. Przez pół godziny naszej w dwóch samotności nie odezwał się słowem, nie zdradził niczem, że znamy się przecież oddawna. Czytał spokojnie dalej, a przecież wiedziałem, że obserwuje mnie bacznie i uważnie. Czułem to jakby zaskórnie, drugą wewnętrzną istotą, ukrytą w każdym z nas i prowadzącą odrębne samoistne życie. Milczałem wtedy jak uczeń pod okiem starszego, obawiający się złej noty uczeń, i choć wszystko rwało się we mnie aby mówić, pytać, wspominać — milczałem. Po kilku dniach Wieczorka wywieziono na rozprawę.

Dowiedziałem się później z gazet, że uciekł w drodze. Wychodząc, pożegnał się ze mną spokojnie jak z innymi. Odgłos jego kroków ginął w odgłosie kroków konwoju, przez kratę okienną widzieliśmy go jak szedł przez ulicę spokojnie i nieco leniwie. Po chwili dozorca zęgnali nas z okna.

Więzenie w P. było małym, spokojnym etapowym więzieniem prowincjonalnym. Sprawa ucieczki Jasnego narobiła tu wiele hałasu. Ale i wtedy jeszcze nie domyślili się kogo mieli w rękach. Nikt z więźniów, nikt z administracji więziennej nie dojrzał w nim wodza, sprężyny ruchu. Uciekł więzień Józef Wieczorek. Jedynym skutkiem jego ucieczki było zaostrenie rygoru więzienia etapowego w P.

Ucieczka Jasnego stała się dla mnie dalszym ciągiem legendy. Nie wiem jak dostał się w ręce policji. Kiedy ujrzałem go w więzieniu, przeżyłem głęboki wstrząs. Więc i on, człowiek legendy, mit nieuchwytny i nieprzejrzysty, konkretyzował się w więziennym płóciennym kitlu, w nazwisku Wieczorka Józefa, syna Wincentego, rolnika? To było nie do przyjęcia. Wszystko buntowało się przeciw takiemu porządkowi rzeczy. Ucieczka Jasnego była jedynym logicznym wyjściem z mojej sytuacji psychicznej. Jedynie ucieczka mogła usprawiedliwić jego tutaj pobyt. Mogłem wybaczyć mu wszystko, tylko

nie to żeby stał się zwykłym człowiekiem, takim jak my wszyscy, podlegającym tym samym prawom biologicznym i społecznym. Ucieczka zrehabilitowała go całkowicie w moich oczach. O tym kim był Wieczorek, milczałem wobec towarzyszy więzienia. Wiedziałem, że tak trzeba.

Dalsze lata mego życia nie należą już do tej opowieści. O Jasnym wiedziałem, że jest i istnieje. Byłem pewny, że wie o mojej sprawie, ale się nie spodziewałem, że się odezwie. Nie zobaczyłem go już nigdy więcej. A potem przyjechałem do Z.

*

Tego właśnie dnia, gdy wróciłem do domu, Agata rozczzerwieniona od kuchennego żaru powitała mnie od progu:

— Jakiś pan czeka na was.

Na progu mego gabinetu stał Jasny. Uśmiechał się.

To był dzień Trzech Króli. Choć data ta nie ma istotnego znaczenia dla mej opowieści, zapamiętałem ją dokładnie. O dwunastej minęło dziesięć lat. Teraz była pierwsza. Obiad parował na kuchni. Agata włożyła świąteczną zapaskę, pokój mój, nazwany przez Agatę gabinetem, był nagrany do niemożliwości. Zdawało się, że skłębiony żar rozsadzi piec i wątle mury naszego domu. Za oknem znów wiało. Halny rozpoczynał nowy okres. Pomyślałem machinalnie, jakby automatycznie, że to będzie trwało ze trzy dni — i uśmiechnąłem się blado. W tej właśnie chwili uświadomiłem sobie jasno, że całe moje dotychczasowe życie, cały ten okres zamknięcia i dobrowolnej banicji był wypełniony jedynie oczekiwaniem tego momentu. Dla tajemnego, przeczuwanego zaledwie sensu tej chwili tkwiłem tu dziesięć lat, niepotrzebny sobie i ludziom. Teraz, w decydującym momencie, umiałem tylko milczeć.

Jasny podszedł bliżej:

— Nie poznajesz mnie?

Jak mógł tak pomyśleć. On musiał wiedzieć, że całe moje tutejsze życie było oczekiwaniem, wędrówką od nadziei do zwątpienia. Wiedział to napewno. Byłem tak wzruszony, że nie zwróciłem uwagi na formę jego pytania. Mówił do mnie „ty”, czego nie czynił nigdy przedtem. Świetnie uszyte ubranie sportowe leżało na nim wybornie i elegancko. Mocne buty nie skrzypiały gdy chodził, poruszał się lekko i swobodnie, rozmowa, którą nawiązał, była obojętna i towarzyska, jak gdybyśmy rozstali się zaledwie wczoraj i jak gdyby wszystko najważniejsze było już dawno omówione i wiadome. Nie pytał o nic, zdawało się, że wie wszystko o mnie i o moim tutejszym życiu. Nawet o Agacie.

Agata patrzyła nań z upodobaniem. Wiedziałem, że podoba jej się ten wielki pan ze świata, że wyglądam przy nim ubogo i niezręcznie jak naiwny prowincjusz, jak starszy pan nauczyciel z małego miasteczka. O ile wiem, Jasny był znacznie starszy ode mnie. Miał już

wtedy blisko czterdziestki, choć trudno było w to uwierzyć, widząc go teraz przy stole. Jadł szybko, chwalił kuchnię Agaty i uśmiechał się do nas.

Jeszcze raz muszę podkreślić delikatność i subtelność Agaty. Ta góralka, posługująca mi od lat, pełniąca funkcje gospodyni i kochanki z ujmującą prostotą i brakiem wszelkiej poufałości, powiedziała po obiedzie spokojnie i rzeczowo (jedliśmy oczywiście razem, choć Agata na chwilę tylko przysiadła do stołu, sprawnie nam usługując):

— Wicie, panie, pójdę dziś z małymi do matki, powrócim rano. — I dodała zarumieniona: — Zawsze na Trzy Króle do matki chodzim.

Skłamała, wiedziała odrazu, że Jasny pozostanie na noc, choć nie mówiliśmy o tem ani słowa.

Tak więc zostaliśmy sami. Odruchowo przypomniało mi się więzienie etapowe w P. i ówczesna moja samotność z Jasnym. Gniewały mnie te skojarzenia, chciałem się ich koniecznie pozbyć. Jasny niespodzianie powiedział:

— Myślisz o P. No tak, to dawne dzieje. Nie powinienes się o to gniewać. Nasze życie każe nam za każdym razem nakładać inną maskę. Jak w teatrze, mówimy głosami figur, które kazano nam przedstawiać. To zawsze inny obcy głos mówi za nas. Myślę, że cała trudność polega na tem, aby mówiąc tyloma głosami, tyle ról powtarzając, pozostać sobą. Tak — powtórzył w zamyśleniu. — To trudność najważniejsza.

Siedzieliśmy w mroku, nie zapalając światła. Jarzyły się tylko papierosy i buzował podsycony ogień w kominie. W obrębie mego pokoju zamknięty był cały świat i na nim tylko my obaj. Pierwsi czy może ostatni ludzie na ziemi.

— Kazano? — powtórzyłem. — Mnie już od lat nikt nic nie nakazuje.

— Tak myślisz? — uśmiechnął się ironicznie. (A może zdawało mi się, bo według utartego myślowego szablonu w tym punkcie, w tej przerwie myśli było właśnie miejsce na ironję). Tak myślisz? A Szklity?

Odpowiedziałem niespodzianie dla siebie brutalnie i twardo:

— Powiedz mi, Jasny, jak ty się naprawdę nazywasz?

Pożałowałem tego pytania, ale już było za późno. Odpowiedział spokojnie i cicho, jakby z zamysłonej oddali:

— Teraz nazywam się Ośmian, Kasper Ośmian. To bardzo wygodne nazwisko. Człowiek, który je nosił kiedyś, już dawno nie żyje. — I strącając popiół dodał: — Słyszałeś może o nim, to był Rudy.

Milczeliśmy długo. Znów powróciły tamte lata, zdyszane i gorące, rozpalone chodniki ulic, zaułki wielkich miast, gwałtowne, szarpiące nerwy dzwonki telefonów, jakiś jesienny, inny od wszystkich pozostałych dzień deszczowy w W. Aby ukryć wzruszenie, zacząłem niezręcznie zapalać lampę.

— Filuje — uśmiechnął się Jasny.

Odwrociłem się twarzą do okna. Szyby cichutko brzęczały od naporu powietrza. Wgórze, ponad najwyższymi szczytami Tatr, stały nieruchomo rude chmury, mieniające się kolorami rdzy. Na niebo wypłynął cieniutki sierp księżyca. Czułem jak za moimi plecami gość wysnuwa z siebie leniwe pasemko papierosowego dymu, że płomień żarzy się i nie gaśnie, a człowiek siedzi nieruchomo pochylony w fotelu i zamysłony. Za nic nie chciałem w tej chwili przerywać tego zamyslenia.

Jasny zaczął cicho:

— Miano do mnie wtedy jakieś pretensje. Wszystko już wyjaśniłem w moim życiu prócz tego okresu i czasem myślę, że może to kiedyś powróci. Nie lubię niejasnych chwil poza sobą, a przecież są sprawy, o których tylko można milczeć. Milczałem więc i wtedy i gdy zaproponowano mi kilkumiesięczny urlop, zgodziłem się bez słowa. Postanowiłem jednak nie wyjeżdżać z kraju. Uzbroić się w cierpliwość i poczekać. Nie wiesz pewno o tem, że mam bogatą rodzinę, to znaczy matkę, która mnie bardzo kocha. Chciałem więc pojechać do niej. Nie udało się. Przeżywała wtedy jakąś skolei miłość, i lepiej było dla nas obojga abyśmy sobie nie przeszkadzali. Napisała mi o tem i radziła udać się do stryja. Przysłała również pieniądze. Stryj, zdziwaczały staruszek, będący rejentem w W., przyjął mnie z obojętną rezygnacją, zastrzegł się, abym nie włąził do nędznej komórki, którą nazywał dumnie kancelarią i gdzie wraz z drugim staruszką, łysym i zabawnym dependentem, odsiadywał swoje codzienne pracowite nieróbstwo. Pozostałą część mieszkania oddał do mojej dyspozycji. Roztasowałem się wygodnie. W tym czasie mało wychodziłem z domu, czytywałem wiele, z ludźmi z organizacji widywałem się bardzo rzadko i raczej przypadkowo. Nie chciało mi się nawet czytywać gazet, i sprawa Rudego dotarła do mnie dopiero później. O wiele za późno, aby cokolwiek wyjaśniać i prostować.

„Nie wiem czy pamiętasz jeszcze dziwną i pokręconą uliczkę Kozłą. Tam właśnie mieszkał mój stryj. U obu wylotów zamknięta brama, graniczy ze staromiejską dzielnicą, tworząc jak gdyby przejście ze świata zaułków na wolną, odkrytą przestrzeń. Okna naszego mieszkania, położonego na pierwszym piętrze, sięgały nieco dalej poza wylot uliczki i można z nich było obserwować całe jej życie. Pokoje tych mieszkań są mroczne i ciemne, słońce nie dochodzi tam nigdy i nawet w południe panuje w nich półmrok. Czytywałem więc zwykle przy oknie.

„O tym czasie w organizacji w Ł. wrzało. W ciągu jednego miesiąca trzy wsypy. Ludzie, ocaleni z pogromu policyjnego, chodzili jak błędni, bali się własnego cienia i czekali tylko na dzień i godzinę, w której zostaną wzięci. Robota leżała. Z miejscowego komitetu, liczącego dwunastu ludzi, pozostało trzech. Wśród nich Rudy. Wte-

dy właśnie „Kraj” otrzymał informację, że wszystkie ostatnie wyspy, to robota Rudego. Równocześnie Rudy zniknął. Nie muszę ci chyba opowiadać wszystkich szczegółów o Rudym. Pracowałeś wtedy w organizacji, i echa tej sprawy musiały obić się i o twoje uszy. Jak wiesz, Rudego, który był członkiem ścisłej egzekutywy i umiejętnie się konspirował, znało niewielu ludzi, znałem go i ja również. Złożyło się tak, że wszyscy znający go byli aresztowani. O mnie zapomniano — taki urlop u nas, to jakby śmierć cywilna, i tego nie muszę ci tłumaczyć. Może zresztą nie wiedzieli, że wiem coś o nim. A ja siedziałem u stryja, czytałem jakieś zakazane francuskie powieści, i może trochę marzyłem. Jeżeli mam być zupełnie szczery, sprawy organizacji i wszelkiej polityki daleko były wtedy ode mnie. Nie wiedziałem zresztą o niczym. Minęło kilka dni. Areszty ustały, i robotę poczęto odbudowywać nanowo. Spod ziemi powychodzili przyczajeni, głęboko schowani ludzie. Powiązano z powrotem urwane nici, miejsca aresztowanych zajęli nowi. Cóż, ludzie mogą padać, sprawa żyje i dąży naprzód. O Rudym przecież pamiętano. Szukano go wszędzie. „Kraj” nie mógł i nie chciał puścić płazem tej sprawy.

Jasny zamilkł, zapalił papierosa i pociągnął wina. Siedziałem nieporuszony. Bałem się, że zauważy wyczuloną uwagę, z jaką go słuchałem, i że przerwie opowiadanie. Zbyt jednak był pogrążony we wspomnieniach aby patrzeć na mnie. A może wiedział, może wiedział wszystko i umyślnie wybrał tę historję dla opowieści? Wiele spraw jasnych dla mnie teraz, było jeszcze wtedy zagadką. Pamiętałem tylko zagubiony gdzieś na dnie pamięci jesienny, zalany deszczem wieczór, niepewne światła gazowych latarni i szybkie, spłoszone kroki. Tu był pokój, trzaskało drzewo w kominku, było ciepło i zacisznie. Jasny podjął opowiadanie.

— Szukano go wszędzie. Ale to były bezowocne poszukiwania. Nikt nie znał jego twarzy, wiedziano tylko, że był rudy. Zapytano więzienia. Po kilku tygodniach nadeszła informacja, do której załączony był krótki rysopis. To jednak nie posunęło sprawy naprzód. Mijały dni i tygodnie, robota szła swoim trybem, ustały masowe wyspy i aresztowania. Po Rudym nie było śladu.

„W księgozbiornie mego stryja, dziwacznym i pełnym rupieci, znalazłem trochę ciekawej lektury. Byłem zbyt leniwy, aby wychodzić na miasto po książki. Czytałem więc co było. Jakies zasuszone kodeksy, prawo handlowe, zabłąkany tu dziwacznym trafem „Rys obyczajowości XVIII wieku”. I było mi dobrze. W towarzystwie dwóch dziwaków, stryja i jego dependenta, zdziwaczałem sam, pogrążając się w tej wysepce staroświecczyzny, jakby zahamowanej w rozwoju przed stu laty, skamienielinie zagubionej w gąszczach stołecznych ulic. Doszedłem wreszcie do takiego stanu, że tygodniami nie wychodziłem na ulicę. Jedyłą moją rozrywką było okno. Matka pisywała zrzadka i urywanie. Przestałem odpowiadać na jej listy — nie

chciałem mącić ostatnich już lat jej szczęścia. Może to zresztą było tylko złudzenie szczęścia. To przecież wszystko jedno. O piątej jadaliliśmy wspólny obiad, który przynoszono nam z pobliskiej niedrogiej restauracji. Po obiedzie panowie zapalali cygara, ja kurzyłem swoje mocne papierosy i słuchałem leniwie ich zawsze podobnej pogawędki. Żyli jeszcze ciągle w okresie wojny prusko-francuskiej, rozprawiali o „złotem niebezpieczeństwie”. Napoleon był dla nich wielkim grzesznikiem i niebezpiecznym rewolucjonistą. Te sprawy były ciągle świeże i nowe. Dyskutowali je, roztrząsali systematycznie i bez pośpiechu. Było coś zabawnego i tragicznego zarazem w tem zahamowaniu, ignorowaniu rzeczywistości, w upartym trwaniu na dawnych, raz kiedyś osiągniętych pozycjach. Ubierali się oczywiście staromodnie, i mowa ich pełna była tych archaizmów, które rażą i drażnią nas w ustach współczesnego człowieka, ale które były dla nich naturalne i jedynie właściwe. Słuchałem więc, leniwie odpoczywając, tem bardziej że nie liczyli się zupełnie z moją obecnością, traktowali mnie jak dziecko, które nie ma nic do powiedzenia, którego wcale nie należy pytać o zdanie, tak jest jasne że zgadza się z tem co starsi uradzą i orzekną. Nieraz chwytałem się na tem, że starałem się wewnątrznie poniżyć, uwierzyć, iż ich brednie i nieartykułowane banialuki są właśnie prawdziwą mądrością życia, którą należy przyjąć. Jest jakaś bolesna rozkosz w takim samoponiżeniu, o którym nikt nie wie i nie dowie się nigdy. Gdy już za bardzo mnie zmęczyli albo znudzili, odchodziłem do okna.

„Była jesień. Padały rzadkie deszcze. Przechodzień na ulicy Koźlej jest zjawiskiem nieczęstym, trochę niezwykłym. Ogląda się go starannie i długo pamięta. Po kilku tygodniach znałem już życie sąsiadów, mieszkańców położonej naprzeciw kamienicy, które podpatrywałem zza firanki stryjowego okna. Nie było w tem podpatrywaniu nic zorganizowanego ani przemyślanego. Było lenistwo i nikła chęć spojrzenia od zewnątrz. Sądzę, że gdybym miał wtedy jakąś ciekawszą robotę intelektualną, nigdyby mi to podpatrywanie na myśl nie przyszło. A życie tych ludzi było ubogie, rzadkie w zdarzenia, normowane porą posiłków i pracy. W nocy normowała je miłość zakurzona i mdła, nie drażniąca nawet obcego obserwatora, obojętna tak samo prawie jak akt zwierzęcy w tłoku na ulicy.

„Któregoś popołudnia pojawił się na ulicy nowy przechodzień. Wyszedł z kamienicy położonej naprzeciwko. Nie musiał być jeszcze stary, ale szedł powoli, zgarbiony i kulący się pod deszczem. Spod szerokiego kapelusza wystawały mu rude, siwiejące trochę kosmyki włosów. To był właśnie on. Kasper Ośmian. Człowiek, którego nazwisko noszę dzisiaj. Szedł powoli wzdłuż Koźlej ulicy, deszcz siekł go z boków, zabiegał mu drogę i chlustał strumieniami w twarz. Nie śpieszył się. Myślę, że musiał być chory na serce i że zabroniono mu szybko chodzić. Patrzyłem za nim długo, aż znikł za węglem ulicy.

„Odtąd pojawiał się regularnie. Codziennie o czwartej wychodził na dłuższy spacer, z którego niekiedy późno wracał. Siedziałem wtedy przy oknie, niecierpliwiłem się czekając na jego powrót, czas mi się dłużył, i nie mogłem spokojnie czytać. Kiedy wracał — uspokojony szedłem do stryja na kolację. Zawiązała się między mną a tym człowiekiem nic nieuchwytniej sympatii, której towarzyszył cień niepokoju. Serce przeczuwało przygodę, tłukło się niespokojnie na myśl o nim. A przecież za nic nie wycofałbym się wtedy z mego punktu obserwacyjnego.

„W tym czasie stryj przyzwyczaił się już do mnie, myślę, że polubił trochę moje towarzystwo, tak jak lubi się towarzystwo milczącego wiernego psa. Niecierpliwiło go nieraz gdym zbyt długo tkwił w oknie i nie schodził na kolację. Wołał mnie wtedy gderliwym, rozklekotanym głosem. Pozostawałem na posterunku. Aż Kasper wracał. Domyśliłem się, że mieszka w kamienicy położonej naprzeciw. O szczegóły nie pytałem nigdy i nikogo. Wystarczyło, że jest i że każdego popołudnia znów go zobaczę.

„Bywały jednak dni, w czasie których nie widywałem go zupełnie. Bolały mnie oczy od wypatrywania, przeżywałem chwile niepokoju i niepewności, przekonany, że przeoczyłem wychodzącego, że kiedy patrzyłem przez chwilę w inną stronę, Kasper wyszedł i znikł za węglem ulicy. Gniewałem się na siebie, tłumaczyłem sobie, że to niemożliwe, że chód jego jest zbyt powolny, aby minął tak szybko kawał ulicy tworzący moje pole widzenia — i dalej tkwiłem w oknie. Godziny mijały. Nie wracał. Zrezygnowany i zły brałem się do książki. Ta gra wewnętrzna, hazard z samym sobą wciągały mnie coraz bardziej. Usiłowałem wyobrazić sobie jego życie, samotny pokój do którego wracał, łóżko na którym odpoczywał, leżąc, oddychając uważnie i wolno. Smutny musiał być ten pokój wylepiony tapetą lila i ubogo umeblowany. Na myśl o zupełnej samotności i opuszczeniu tego człowieka serce ścisnęło mi się lekko i boleśnie. Stawałem się sentymentalny jak człowiek zakochany lub chory. Pamiętam z tego okresu jeden szczególnie ciężki tydzień. Kasper nie pokazał się ani razu. Może był chory, może umarł albo wyprowadził się, i nigdy się już nie dowiem kim był i dokąd odszedł. W odmęcie wielkiego miasta ludzie mieszają się i giną jak ryby stłoczone w sieci, mijają się obojętnie i na zawsze. Wystarczy czasem wyprowadzić się na sąsiednią ulicę, aby nie zobaczyć już cienia najbliższej postaci.

„Może wydać ci się przesadne i niezrozumiałe, że tak bardzo interesował mnie człowiek zupełnie obcy, z którym nigdy nie zamieniłem słowa ani nawet uśmiechu. Tak, rozumiem to. Kategorje myślowe, w których obracałem się wtedy, nie dopuszczały takiego zdziwienia. Ten człowiek zza okna stanowił wówczas jedyny mój pokarm intelektualny, był realizacją najbardziej fantastycznych pomysłów i zdarzeń, w jakie go ubierałem, był mojem życiem zewnętrznem i przygodą. Ze los stworzył zeń figurę nieco pokracczną i śmieszna — wca-

le mi to nie przeszkadzało. Przecież życie i w tym wypadku okazało się bardziej fantastyczne i dziwne od skomplikowanych marzeń i fantazji.

„W całej tej sprawie męczyła mnie jeszcze jedna myśl. Jakiś okruch wspomnień tkwił jak cieni na dnie mojej pamięci. Wiedziałem, że ten człowiek przypomina mi kogoś, jakąś sytuację sprzed lat, czyjąś twarz i gest. Wspomnienie krążyło ciągle jak obraz mglisty i niewyraźny pod opuszczoną powieką, którą boimy się unieść, aby się nie rozwiął, nie rozpląnął całkowicie w konkretnym świecie rzeczy i spraw. Wspomnienie to nurzało się w jakimś nieokreślonym kolorze lila albo brązowym, chwilami stawało się tak bliskie, że aż prawie konkretne, i kiedy już miałem sobie przypomnieć — rozplątało się nagle w mgłę nieprzejrzystej i denerwującej, w obraz za gęstą ciemną siatką wieczoru. Może jego głos wyjaśniłby mi wszystko. Lecz człowiek zza okna był milczący, nigdy nawet nie zakaszał na ulicy, szedł wolno, czuło się, że oddycha z trudem. Przestrzeń między nami stawała się ostra i naelektryzowana, napięcie rosło, i rozładować je mogła tylko błyskawica piorunu.

„Wtedy właśnie przez tydzień nie widziałem go. Opanowało mnie zniechęcenie i rezygnacja. Postanowiłem wyjechać z kraju, wyjaśnić sprawę mego urlopu i przyspieszyć decyzję. Napomknąłem już nawet stryjowi, że być może niedługo wyjadę, na co staruszek skrzywił się z bolesną rezygnacją, która — przyznaję to — wzruszyła mnie trochę. Tak mało ludzi przywiązuje się do nas w naszym trudnym i tragicznym życiu. Wspomniałem już, że stary dziwak polubił mnie. Stworzyłem wyłom w jego dotychczasowym życiu, wyłom którego po moim odejściu nie będzie miał czym zapełnić. Nie mówił nic, wdychał tylko żałość i cicho. Było mi przykro, ale naprawdę nie było już poco zostawać.

„Po tygodniu Kasper pojawił się znów. Nie zmienił się wcale. Jak dawniej wychodził o czwartej i wracał późno. Odroczyłem decyzję wyjazdu.

„Nie umiałbym ci wyjaśnić, czy zwrócił uwagę na moją obserwację. Być może, nie zauważył jej wcale. Siedziałem zawsze ukryty za firanką okna, i trudno mnie było spostrzec od strony ulicy. Myślę, że raczej wyczuł ją wewnętrznie, że moja natężona uwaga podziałała nań podskórną i obudziła w nim uczucie niepewności czy niepokoju, obce prawdopodobnie dotąd jego życiu. Pamiętam, że odwrócił się kiedyś i spojrzał uważnie w kierunku mojego okna, jakby chciał przeniknąć źródło tego prądu, który nas nierozzerwalnie połączył. Zapamiętałem to spojrzenie. Było niebieskie i bezradne, jakby dziecięce, nic nie widzące, i uderzyła mnie wtedy myśl, że Kasper musi być krótkowidzem i że patrząc w moją stronę widzi tylko głębię ciemności, pokratkowaną siatką kolorów i linii, rysujących się na ciemnym tle. Patrzył przez chwilę, potem odwrócił się i poszedł swoją drogą. Pozostałem nieporuszony przy oknie.

„Często później po latach śniło mi się to spojrzenie, budziło we mnie niepokój i smutek rzeczy i spraw mijanych, dalekich i obojętniejących powoli. W książkach nazywają to zdaje się smutkiem przemijania, albo smutkiem rzeczy martwych.

„O tym czasie nowy człowiek objął „Kraj”. Nie wiem czy go pamiętasz. My nazywaliśmy go Szymonem. Drobny i suchy, znany był tylko kilku starym działaczom, i wiem, że wysyłano go zawsze na najbardziej zagrożone odcinki. Szymon (nie chcę mówić o nim źle) był energiczny, rzutki i ambitny. Ostro nastawił robotę, umiał o wszystkim pamiętać i wszystkiego przypilnować. W organizacji nastąpiły nowe czasy. Ludzie pracowali chętnie i ofiarnie. Szymon właśnie postanowił skończyć ze sprawą Rudego. Spotkałem go kiedyś po latach zagranicą i opowiadał mi z dumą, że postawił sobie i organizacji dwutygodniowy termin dla likwidacji tej sprawy. Terminu tego dotrzymano. Po dwóch tygodniach sprawa była załatwiona. Pracowały wtedy w organizacji w W. dwie dziewczyny, siostry, Klara i Zośka. One właśnie wpadły na trop Rudego. Nie umiałbym ci powiedzieć dokładnie jak się to stało. Nie znały go przecież. Szymon cenił je bardzo, specjalnie wyróżniał Klarę, mówił, że jej zawdzięcza organizacja usunięcie tego człowieka. Swoją zasługę przemilczał.

„W jakiś deszczowy dzień Klara zmęczona i głodna wlokła się przez ulicę Bolesną. Udało jej się odciąć od podejrzanego człowieka, który od godziny szedł za nią. Kluczyła wprawnie, wciągnęła go w zaułki staromiejskiej dzielnicy i tu go zgubiła. Skręciła w Bolesną i postanowiła wrócić do domu. Wzmagający się deszcz zapędził ją do bramy. Chciała przeczekać ulewę. Stąd niema przecież żadnej komunikacji ze śródmieściem. Było zimno, przez pustą dmuchał wiatr, deszcz nie ustawał. Jak wiesz może, ulica Bolesna jest równoległa do Koźlej, i Klara weszła do bramy przechodniego domu. Spozrzęła to po chwili i postanowiła skrócić sobie drogę. Ale i na Koźlej było ciemno i deszczowo. W bramie tliła się leniwie lampka gazowa, oświetlając mdło listę lokatorów. Klara przystanęła przed listą. Wśród długiej litanii nazwisk minęła obojętnie i to: „Kasper Ośmian — nauczyciel prywatny”. Czekwała tylko aż deszcz ucichnie trochę.

„Tego wieczoru jak zwykle siedziałem w oknie. Padał deszcz, i martwiłem się, że Kasper wracając do domu zmoknie. Może znów zaziębi się i przez kilka dni nie będę go widział. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że mieszkał w przechodnim domu, że wychodził często na ulicę Bolesną i że przez Koźlą szedł tylko na swoje popołudniowe lekcje. Nie wiedziałem, że był nauczycielem, i do dziś nie wiem tego napewno. Cóż znaczą szyldziki z nazwiskiem i zawodem człowieka. Czy czytając je stajemy się przez to mądrzejsi i wzbogacamy naszą wiedzę o ludziach? Dla każdego z nas Kasper był innym człowiekiem. Myślę, że wszyscy razem nie wiedzieliśmy o nim nic.

Wspólny mianownik, — Rudy, — pod którym wszedł do naszej historii, niewiele nam może wyjaśnić. Treść jego zawsze będzie i pozostanie różnorodna i powikłana. I wszelkie nasze wysiłki pozostaną już na zawsze bezowocne. Okrucy materialnej prawdy, jakie nagromadziliśmy wobec faktu jego istnienia, pozwolą na różnorodny i dowolny komentarz. Ja sam daleki jestem od myśli aby uważać mój komentarz za doskonały. Powtarzam tylko to co widziałem. A sam wiesz najlepiej jak bardzo ograniczone jest pole naszego widzenia.

„Już było zupełnie ciemno, gdy Kasper wrócił. Uspokojony, odszedłem od okna. Zmoczony, ciężko oddychając, wszedł do bramy. Złe widział w ciemności oświetlonej jedynie gazowym płomykiem i dlatego może potrafił Klarę. Wspominałem ci już o mojem wrażeniu, że był krótkowidzem. Klara miała bystry wzrok. Rude zmoczone kłaki, wystające spod kapelusza, nie uszły jej uwagi. Żyła przecież wtedy w kompleksie poszukiwania. Stłumiła okrzyk i odwróciła się nieznacznie. Zobaczyła schody, na które wszedł.

„Przez kilka następnych dni dziwiło mnie wystawanie i kręcenie się dwóch dziewcząt obok domu, który obserwowałem. Nie trzeba było wielkiego sprytu, aby domyślić się kim są. Zastanawiało mnie tylko kogo obserwują tutaj. O Rudym nawet nie pomyślałem. Nie wiedziałem zresztą o tej całej historii. Bliższy byłem raczej myśli, że to ja sam jestem przedmiotem ich obserwacji, i myśl ta bawiła mnie niezmiernie. Za nic nie wyprowadziłbym ich wtedy z błędu. Umyślnie pokazywałem się często w oknie, przybierałem najdziwniejsze pozy, chwilami udawałem, że się kryję i że zależy mi na tem aby nie być spostrzeżonym. Fakt, że nie zwracały na mnie wielkiej uwagi, tłumaczyłem sobie przezornością ich obserwacji i instrukcjami, jakie miały. Nie dziwiło mnie, że jestem śledzony przez własnych towarzyszy. Zbyt dobrze znałem nasze życie aby nie być przygotowany na wszystko. Jak bardzo myliłem się! W tej partji mojego życia byłem nieustannie biły i muszę przyznać, że całe moje ówczesne zachowanie się było lekkomyślne i pełne niepotrzebnej brawury.

„Dziewczęta niezmordowanie krążyły wokół domu. Zjawiały się zwykle popołudniu, wtedy gdy Kasper wychodził przez Kozłą. Po jego wyjściu znikwały — szły pewno w oddaleniu za nim, śledząc pilnie każdy jego krok i dzieląc się potem spostrzeżeniami. To były dzielne dziewczyny. Widzę je potem piszące starannie raport drobnymi drukowanymi literkami na małych ćwiartkach bibułki, staranny śmiertelny raport z każdego dnia pracowitej obserwacji. W ich oczach wszystko stawało się podejrzanem. Bystremi, młodemi oczami umiały odkryć fałsz, maskę, za którą krył się prowokator. Nie omylił ich jego chód powolny i człapiący nieco, oddech ciężki i nierówny człowieka chorego na serce. Każda brama, dom, do którego wchodził kryła w sobie tajemnicę, kryła groźbę i podłość i budziła słuszny,

sprawiedliwy gniew. Czy już to samo, że mieszkał w przechodnim domu, że krył się ze swoim życiem w tłoku stołecznego miasta, że nie widziano go nigdy w towarzystwie kobiety, że nie chodził do kina, nie uśmiechał się, nie kupował gazet — nie było podejrzane? Któregoś dnia obserwacji siostry odkryły, że wszedł do domu przy ulicy Kościelnej. W domu tym mieszkał wyższy urzędnik służby śledczej. Nazajutrz znikł im z oczu w okolicy gmachu, który mieścił urzędy magistratu i policji. Chód jego był zawsze jednakowo powolny i ociężały. Pilnował się bacznie i nawet w śródmieściu nosił maskę. Sprawa stawała się jasna. Obserwację siostr należało zakończyć."

Jasny zamilkł znowu. Siedzieliśmy w niezręcznym milczeniu, nie patrząc sobie w oczy, dwaj obcy, nic o sobie nie wiedzący ludzie. Czuję ostre, gorące kropelki potu, spływające mi wzdłuż kręgosłupa. Dłonie miałem wilgotne i lepkie. Jakże głęboko nienawidziłem tego człowieka, siedzącego obok mnie, zapalającego leniwie papierosa. Dlaczego uśmiechał się w zamyśleniu, marszczył wysokie piękne czoło, jakby usiłował sobie coś uporczywie przypomnieć? Ku czemu to wszystko zmierzało? Wiedziałem napewno, że nie chcę słuchać tego opowiadania, że już nic dzisiaj nie zmieni się przez to, cokolwiekby mi powiedział. A przecież słuchałem uważnie, nie przerywając ani słowem. Myślałem jeszcze, że kiedy ze mnie tamto życie uczyniło łachman, zdolny tylko do starczej wegetacji w Z. — on pozostał niezmienny. Rozsnuwał zapach skóry i tytoniu, morza i dalekich krajów, których już nigdy nie zobaczę. Mogłem pozostać tylko widzem dalekich spraw i zdarzeń. Zbierać jałmużnę opowiadań i mieć świadomość, że i za nią należy być wdzięcznym. Urażony i zły milczałem. Postanowiłem, że nie będę go o nic pytał. Wmawiałem w siebie, że w tem wszystkim kryje się jakiś podstęp, jakiś kryty sztych, którym chce mnie ugodzić w serce. A jednocześnie strach, że nie zakończy opowiadania, dławił mi gardło. Bawił się tem i milczał. Czyżby nie znał zakończenia? A może naprawdę nie znał końca tej opowieści. Wreszcie Jasny powiedział:

— Nie pytasz mnie wcale o zakończenie tej historii?

Odpowiedziałem głośno i wbrew sercu, przeklinając własną bezsilność:

— Ah, proszę cię, dokończ.

— Klara i Zośka zaprzestały spacerów pod oknami mego mieszkania. Z początku nie zwróciłem na to żadnej uwagi, potem zapomniałem o tem. Aż do tego dnia. Dostałem depeszę od matki. Zopowiadała swój przyjazd do W. List otrzymany poprzednio leżał nieodpieczętowany, tak dalece nie obchodziły mnie teraz jej sprawy. Z listu tego dowiedziałem się, że matka postanowiła powtórnie wyjść zamaż. Chciała przedstawić mi mego przysłego ojczyma i załatwić pewne formalności w W. To było powodem jej przyjazdu i depeszy. Nie lubię scen rodzinnych. Budzą we mnie zawsze niesmak i rażą

głęboko ukryte poczucie wstydlivosti. Zbyt głęboko kochałem matkę, aby wyobrazić ją sobie w roli szczęśliwej narzeczonej i młodej małżonki. To była przecież moja matka, kobieta prawie pięćdziesięcioletnia. Czy może być coś straszliwszego dla człowieka niż wyobrażenie własnej matki, rozkrzyżowanej namiętnie pod ciężarem obcego, niewiadomego mężczyzny. Czy gest, który powtarzamy sami tylokrotnie, automatycznie i często bez cienia uczucia, nie jest profanacją brudną i wstrętną w odniesieniu do tej, którą kochamy jedynie i prawdziwie, do naszej matki. Rozumiesz, że nie mogłem się wtedy z nią widzieć. Stryj pojął mnie bez słowa. Ustaliśmy dzień mego wyjazdu. Czasu było niewiele, śpieszyłem się bardzo. Pomyślałem jeszcze wtedy o Kasprze i ze zdziwieniem stwierdziłem, że człowiek ten przestał mnie zupełnie obchodzić. Zaniechałem wysiadania w oknie, nie patrzyłem więcej w jego stronę i nie wiem co się przez ten czas działo na ulicy. To była gra. Znudziła mnie i wycofałem się w połowie partji. Zawiadomiono mnie, że zagranica czeka na mój powrót, że urlop mój został skrócony, nieporozumienia wyjaśnione. Należało wrócić do dawnej skóry. Depesza matki przyśpieszyła dzień wyjazdu.

„Ramiona świata otwierały się znów przede mną szeroko. Ulica Koźła, mały staromiejski zaułek, schodziły znów na najdalszy plan, wyolbrzymione sztucznie samotnością i nudą wracały do właściwej proporcji i wymiarów. Wyjaśniłem sobie ów niepokój, który towarzyszył stale obecności Kaspra. *Przypomniałem sobie*: to była jakaś zagubiona na dnie pamięci izba na przedmieściu, w której przed laty spotykałem się z kilku towarzyszami. Tapeta lila w jakieś nieprawdopodobne brązowe kwiaty, przyćmione światełko konspiracyjnej naftowej lampki, naiwne szeptki i rezolucje. Tak, to było to. Spotykałem się tam z ludźmi z egzekutywy Ł-kiej organizacji. Może wśród nich był Rudy, nie pamiętam. Z tą chwilą moja sprawa z Kasprem była zakończona i wyjaśniona. Postanowiłem pakować walizkę. Ostatniego wieczoru poprzedzającego wyjazd znów mnie to naszło. Już nie z dawną siłą, ale przecież mdliło gdzieś w okolicy serca i pchnęło moje kroki do okna. Padał deszcz. Przez zaroszone szyby okienne nic nie było widać. Uchyliłem okna. Deszcz bluznął do pokoju i zmusił mnie do zamknięcia okna. Gniewny wróciłem do pakowania.

„Nie rozumiałem, dlaczego nie cieszy mnie ten wyjazd. Każdą rzecz układałem pieczołowicie w walizce, przekładałem po kilka razy drobiazgi. Z zapakowanej już walizy wyrzuciłem wszystko i rozpocząłem pakować odnowa. Przy tej robocie naszedł mnie stryj i zaoferował się z pomocą. Odrzuciłem ją szorstko, i nagle cały mój gniew znikł. Żał mi się zrobiło starego i aby go pocieszyć, zaproponowałem mu pożegnalną partję szachów. Waliza została niezapakowana. Gdy zasiedliśmy do gry, postanowiłem dać stryjowi wygrać. Robił horrendalne błędy, i nigdy jeszcze z takim trudem nie przegra-

łem partji szachów. Stary dziwak rozgadał się. Sądząc, że robi mi tem przyjemność, opowiadał jakieś dawne historie o swojej bratowej a mojej matce. Może chciał w ten sposób sprzymierzyć się ze mną w tej wewnętrznej, zaskórnej niechęci, jaką odczuwałem z powodu depeszy, spowodu tego wszystkiego co robiła w ciągu ostatnich lat. Nie umiałem się nawet w tem z nim zsolidaryzować. To było przecież zupełnie coś innego. Mój stosunek do matki był tylko mój, nie mógł zostać wyrażony głośno, nie znosił potwierdzenia ani aprobaty. Zachowując skupioną twarz, starałem się zupełnie nie słuchać i być całkowicie nieobecny przy tej rozmowie. Wsłuchiwałem się w monotonny plusk deszczu, myślałem o Wiedniu, który był pierwszym etapem mojej międzynarodowej podróży, gdzie oczekiwali już na mnie towarzysze. W listopadzie Wiedeń nie wygląda ponętnie. Wielkie miasto w gęstej sieci deszczu rysuje się obco i niechętnie. Główne tezy referatu, który miałem wygłosić na plenum organizacji, rysowały mi się niejasno i mglisto. Należało wlać w nie żywą krew treści, nasyścić zapałem i wiarą. Na szczęście, zagadnienie prowokacji i metod walki z nią nie było jeszcze wtedy wyjąłowane nudną i bezwonną gadaniną, i w gruncie rzeczy cieszyłem się, że powierzono mi ten referat. Odkładałem sobie przygotowanie przemówienia do pociągu, sądząc, że nic mi nie przeszkodzi w czasie podróży.

„Szczegóły, które wspominam tutaj, nie łączą się być może z głównym tokiem mego opowiadania. Nie umiem ich jednak pominąć. Może dlatego, że najplastyczniej malują nastrój, w jakim żyłem wtedy, i w pamięci mojej wtapiają się w jeden obraz ciemny i wieczorny, obraz którego ramą był zapomniany archaiczny zaułek wielkiego miasta. Długo siedzieliśmy nad szachami. Ciągłe jeszcze padał deszcz. Stryj mówił coraz wolniej, wreszcie zupełnie zamilkł. Teraz panowała już nieprzerywana niczem cisza, figury przesuwały się w milczeniu, i ciągle myślałem nie o tem co wynikało z mojej sytuacji, co rysowało się przede mną mglisto i niewyraźnie. Zegar wydzwonił dziewiątą godzinę. Pomyślałem, że nie wiem dokładnie o której odchodzi poranny pociąg wiedeński. Z mieszkania nie można było telefonować. Stryj nie uznawał telefonów, i w mieszkaniu nie było aparatu. Nie zwróciłem na to dotychczas uwagi, teraz zirytowało mnie to trochę i podrażniło. Stryj zagadnięty odpowiedział skrzypiąco i obojętnie: „Jeśli musisz już koniecznie zatelefonować, zejdz nadół. Na rogu w aptecce jest pewno telefon”. To „pewno” zirytowało mnie bardziej jeszcze. Może w tej zakazanej dzielnicy niema telefonu nawet w aptecce — pomyślałem absurdalnie. Czułem wyraźnie, fizycznie poprostu, jak pod wpływem tej głupiej sprawy telefonu ulatnia się cała moja sympatja do stryja. Z trudem powstrzymałem się od mówienia przykrych i brutalnych słów. Wstałem od stołu bez słowa i niechętnie wciągnąłem na siebie palto. Już w pokoju podniosłem kołnierz, pragnąc uniknąć przemoczenia. Może była w tem zresztą podświadoma chęć demonstracji przeciw stry-

jowi, że to z jego winy nie mogę dzwonić z mieszkania, że wygania mnie na ulicę, gdzie się mogę przeziębnić, zachorować, umrzeć. Przypuszczam, że było to chyba tylko zwykłe lenistwo. „Dokąd idziesz?” — zapytał stryj. „Do telefonu” — odparłem o wiele za głośno i pełen urazy wyszedłem na korytarz. Na szczęście apteka nie była daleko i nie bardzo przemokłem po drodze. Informacja dworcowa była długo zajęta. Dopiero po kilku minutach dostałem połączenie i zdobyłem wiadomość o pociągu. Godzina, podana mi przez urzędnika, zgadzała się z tą, jaką miałem zanotowaną w podręcznym kalendarzyku. Cała wyprawa do telefonu okazała się najzupełniej zbędna i niepotrzebna.

„W chwili kiedy płaciłem przy kasie, huknął w pobliżu wystrzał. Drgnęliśmy wszyscy. Było coś tak irracjonalnego, niedorzecznego w tym strzale, tak bardzo nie mieścił się on w ramach tego spokojnego wieczoru, że przez chwilę zdawało nam się, żeśmy się przesłyszeli. Jeszcze dwa następujące po sobie wystrzały poderwały nas z miejsca. Apteka o tej porze była cicha i prawie pusta. Nagle niewiadomo skąd zaroilo się w niej od ludzi. Wszyscy tłoczyli się u drzwi i biegli przed siebie w niewiadomą pustą ulicę. Deszcz ciągle padał. Wspomniałem ci już, że przez ostatnie dni byłem w ciągłym bezprzyczynowym zdenerwowaniu. Te strzały uspokoiły mnie odrazu i przywróciły szybkość decyzji. Przypomniałem sobie krążące po ulicy dziewczyny, i sprawa stała się dla mnie jasna. Nie wiedziałem tylko, o kogo szło. To było jedynie pewne, że tym razem nie o mnie. Roztrzęsionej ze zdenerwowania kasjerce zapłaciłem spokojnie za telefon.

„W momencie kiedy miałem wychodzić, wniesiono go do apteki. Spoza rozpiętej na piersiach marynarki sączyła się wąska strużka krwi, wtapiała się ciemną plamą w zmoczone deszczem ubranie. Niosący zabitego zgubili gdzieś po drodze jego kapelusz, i rude siwiejące kłaki, zlepione krwią i potem, tworzyły gęsty, zbity kołtun. Spojrzałem uważnie w jego twarz i szybko wyszedłem. Starąłem się opanować i iść spokojnie ulicą. Czułem, że w aptece zaczęto spoglądać na mnie podejrzliwie. Moja rozmowa z dworcem kolejowym, zdenerwowanie, z jakim rozpytywałem o pociąg wiedeński, rzucało się w oczy i wyglądało wobec strzałów i trupa Kaspra Osmiana bardzo podejrzanie.

„Tak więc sprawiedliwości stało się zadość. Szymon dotrzymał słowa, i przed upływem dwóch tygodni sprawa Rudego była załatwiona. „Kraj” mógł być dumny. Mógłbym, mój drogi, na tem zakończyć swoją opowieść. Spraw takich bywa wiele i kończą się zwykłą kronikarską wzmianką o „porachunkach partyjnych”. Kasper Osmian nie żyje już dawno, i ja w tej chwili podróżuję za jego paszportem. Ale dziś mogę ci powiedzieć: Kasper Osmian, to nie był Rudy. Spojrzałem uważnie w jego twarz. Kiedy mi później, gdy na polecenie „starych” objąłem „Kraj”, referowano tę spr-

wę, milczałem. Znałem i pamiętam Rudego, choć nigdy od tamtych lat nie spotkałem go więcej w życiu. Kasper nie był nawet podobny do Rudego, a przecież poniósł śmierć, zginął jako prowokator i choć był może naprawdę nauczycielem prywatnym, nie wiedzącym nic o polityce, zatroskanym wiecznie sprawą swego chorego serca, zmuszonym łązić po piętach, stawać zadyszany na schodach dla zaczerpnięcia tchu i odpoczynku, zginął z ręki mordercy przed bramą własnego domu w deszczowy, jesienny wieczór. Myślę, że nie miał tutaj nikogo. Dla świata, dla całej zewnętrżności, która zawsze sądzi i sądzić będzie z lichych zewnętrznych pozorów, a przede wszystkim dla tych, którzy spełnili tę zbrodnię, pozostał on nie pomyłką, przypadkową ofiarą ginącą w ulicznym tłoku stołecznego miasta, lecz Rudym, prowokatorem Ł-kiej organizacji, który poniósł zasłużoną śmierć. Pamięć jego przekleły dziesiątki czy setki ludzi. Niewiadomo, gdzie został pochowany, i nikt już nie odróżni dzisiaj jego grobu.

„Zapytasz mnie może, dlaczego zataiłem prawdę, dlaczego nikt nigdy nie dowiedział się o pomyłce, dlaczego zgodziłem się na pohańbienie spokojnego obcego przechodnia. Mógłbym przemilczeć to pytanie. Jeśli odpowiadam ci, to tylko dlatego może, że wtedy w więzieniu etapowem w P. umiałeś milczeć i o nic nie pytać. Jeśli powiesz mi, że to co zrobiłem było zwykłą podłością — nie będzie w tym osądzie nic nowego, ale też i nic wnikliwego. Organizacji nie wolno się mylić. Błądzić mogą ludzie — partja nigdy. W imię tej prawdy, ważnej i głębokiej, należy iść na śmierć i na stokroć trudniejsze od śmierci życie. Tej prawdzie najwyższej, metafizycznej niejako, należy poświęcić wszystko — a wszystko, to nie tylko życie swoje i innych ludzi, wszystko to zwykła ludzka prawda, która może nam starczyć dla spraw drobnych i nienajważniejszych, ale która musi ustąpić prawdzie wyższej, prawdzie naszej partji gdy idzie o sprawy decydujące. Nieważny jest człowiek, który zabił Ośmiana, i nie jego to broniło moje milczenie. Skazała go partja — jako prowokatora Rudego. Ośmian poniósł tu tylko śmierć zastępczą — dla mas zginął prowokator Rudy. I tym razem wyrok był nieomylny — zawiodła ręka i oko. Dlatego właśnie milczałem. Wierz mi, przyjacielu, najłatwiej jest zamknąć się cały w jednym okrzyku oburzenia i gniewu. Nam przecież pisana jest droga najtrudniejsza, najbardziej zawiła. Nie, — dodał po chwili, — niczego w tej sprawie nie żałuję. Spełniłem tylko swój obowiązek.

Jasny zamilkł. Opowieść o Rudym była skończona.

Jak dobrze, że nie patrzył teraz w moją stronę. Przeżywałem znowu tamten deszczowy dzień, zaułek staromiejski w W., bezcelową włóczęgę po ulicach, wieczór na Kozłej. Odgłosy tamtych strzałów sprzed wielu lat dzwoniły mi w uszach. Więc i ta ofiara była niepotrzebna i bezcelowa. Na marne, na marne poszło tyle

lat mego wygnańczego życia, nie było żadnej pokuty ani ekspiacji. To wszystko było śmieszne i niepotrzebne. Oto siedział obok mnie jeden z tych ludzi, palił papierosa i milczał. Czyżby wiedział, że to ja właśnie jestem zabójcą z ulicy Koźlej, że znam tam każdy załom i występ muru i bramę przechodniego domu, prowadzącą na ulicę Bolesną. To przecież jest dla niego obojętne. Minie kilka lat, i ja sam pozostanę tylko strzępem, nieważnym zdarzeniem we wspomnieniu obcego człowieka.

Kasper Osmian, obojętne, nieistniejące nazwisko, wykreślone już dawno z księgi żywych. Oto siedzi tu przede mną Kasper Osmian i uśmiecha się znużony. Mówi:

— Jeszcze tylko jeden, ostatni kieliszek wina.

Za oknem wyje halny. Grube zwały śniegowe staczają się z ostro pochylonego dachu i padają z głuchym odgłosem na ziemię.

Andrzej Wolica

PUSZCZA

Tyle dróg wśród jałowca, rumianku, krwawnika,
a znikąd nikt nie idzie, nawet Bóg: sterany
samotnością zwycięzca. Wiosnę szron przenika,
gdyż obłok zaćmił szranki porannej przemiany
ognia na słońce. Wiosno w chłód zapadła,
uciekam z twojej pustki jak twarz sprzed zwierciadła.

Do puszczy, z której tylko zostało milczenie,
przystępu bronią grotty lecące od szronu,
a w głębi ktoś wyrywa czterolistne cienie
by uwić z nich koronę dla czyjegoś zgonu.
Lecz wejść: wiatr pociemniał, upadł na bezdroże
i drży jak skała w której zatrzaśnięto morze.

Podobny jest wiatrowi temu człowiek, jeśli
począł Boga, więc widzę złom znajomej sprawy,
jakbym patrzył na ciało Marji, żony cieśli,
znoszącej śmierć za śmiercią pod pozorem jawy.
Jej każdy zgon ktoś wieńczy w czterolistne cienie
na puszczy, z której tylko zostało milczenie.

Pryśły szranki, i słońce jasnością podmywa
puszczę milczeń, a drogi pośród kęp krwawnika
coraz głębiej w nią wiodą. Puszczo, bądź szczęśliwa
że mrzesz dla jakiejś wiosny choć ją szron przenika,
a znikąd nikt nie idzie, tylko po łubinie
brnie bezskrzydła pogoda, w której wszystko zginie.

Adolf Sowiński

WSPOMNIENIE Z WYCIECZKI

Stopnie nadludzkiej miary
mdłych turystów nużą...

Niektórzy się zniechęcili,
inni ciągną, jak mrówki, wzwyż.

Oto świątynia:
boginie wznoszą głowy beznose, posepne,
kolumny legły wkoło, jak drzewa, pokotem,
i depcze się po Sztuce, rozrzuconej, w gruzach...

Byłbyż więc Czas orkanem?
niszczycielskim wstrząsem?
a Piękno — katastrofą
o zwolnionem tempie?

Marja Jasnorzewska (Pawlikowska)

AKT III

Komnata zamkowa.

*Cyryl siedzi na krześle, dwie damy przechodzą chichocząc —
za nimi wchodzi książę.*

KSIĄŻĘ Co tu robisz stary?

CYRYL Siedzę.

KSIĄŻĘ I co?

CYRYL I nic.

KSIĄŻĘ O czym one mówiły? Czy nie słyszałeś z czego śmiały się te dwie lafiryndy, będące damami dworu mojej matki-królowej? Nie wpadło ci w ucho?

CYRYL Kobiety zawsze się śmieją. Głupkowaty chichot jest przyrodzonym stanem każdej kobiety, ponieważ w tym stanie jest im najbardziej do twarzy.

KSIĄŻĘ Ze mnie?

CYRYL Te obawy są wprawdzie zgodne z obecnym mętnym wyglądem księcia, ale w zasadzie nie licują z jego godnością. Dla czegożby te notoryczne kretyнки miały śmiać się akurat z księcia? Dotychczas wyśmiewały się między sobą.

KSIĄŻĘ Jeżeli nie ze mnie, to z mojej narzeczonej. Obserwuję że rodzaj ich śmiechu się zmienił. Może się myślę, ale wydaje mi się, że śmiech ich przerzucił się na mnie. Każdy każdemu i każda każdej szepce do ucha i chichoce. Może to złudzenie? Domyślam się... Proszę cię... Proszę cię, postaraj się wymiarkować, co mówią o nas i jakiego rodzaju są to kpiny. Chciałbym wiedzieć, jaki to rodzaj. Oczywiście, nic mnie to nie obchodzi, ale chciałbym wiedzieć. I powiedz im przy sposobności, że jeśli nadal za mojami plecami będą pozwalały sobie...

CYRYL Książę, co się właściwie z księciem dzieje? Książę stał się drażliwy i podejrzliwy zupełnie jak narzeczoną.

KSIĄŻĘ No, no nie pozwalaj sobie. Dość. Nie jestem przyzwyczajony do tego aby wyśmiewano się ze mnie, z moich postępków lub z moich kobiet. Powiedz tej hołocie, że jeśli ktokolwiek po-

waży się — wobec niej — na najlżejszą choćby niewłaściwość, na cień chociażby niewłaściwości...

Otwierają się drzwi w głębi i wchodzi przy dźwięku trąb: król, królowa, szambelan, Iwona, Iza, dworzanie.

KRÓLOWA Smakowało? Co — smakowało? Prawda? Najadła się dziecina? *uśmiecha się, całując Iwonę* A może jeszcze gruszczykę? Gruszczykę osmażaną w cukrze? W cukrze? Słodko? *Iwona milczy.*

KRÓLOWA Gruszczyka wzmacnia *śmieje się* Zdrowo! Zdrowo!

KRÓL Zdrowo! Te, te, te.

KSIAŻĘ Ona dziękuje, Najjaśniejsza Pani.

SZAMBELAN Dziękuje — tak, czy dziękuje — nie? Bo może dziękuje — tak? *wszyscy śmieją się filantropijnie oprócz księcia i Iwony*

KSIAŻĘ *chmurnie* Dziękuje — nie.

KRÓLOWA A może trochę śmietanki? Śmietanka wzmacnia. To zdrowo *całuje ją* Śmietanki może? Mleczka? Mleczka z cukrem?

KSIAŻĘ Ona dziękuje.

KRÓLOWA Cóż tak? Nie mamy apetytu? O, to nieładnie. Cóż teraz będziemy robili? Co? Cóż będziemy robili?

KSIAŻĘ Iwono?...
IWONA Nic.

SZAMBELAN Nic? *śmieje się filantropijnie* Nic?

KRÓL Nic? *śmieje się filantropijnie, nagle zdenerwowany* Nic? *do szambelana* Nic!

KRÓLOWA Nic...

SZAMBELAN Nic zupełnie, Najjaśniejszy Panie. W istocie, żeby tak się wyrazić — *nic śmieszki dworzan*

KRÓLOWA Takie to nieśmiałe... Takie milutkie, ciche. Trzebaby tylko może, żeby od czasu do czasu się odezwało *do Iwony*. Żebyś od czasu do czasu się odezwała, ptaszyno. To nietrudno. Trzeba czasem coś powiedzieć, dziecinko — tego wymaga przyzwoitość, elementarna przyzwoitość... Nie chcesz chyba być nieprzyzwoita... Co? No więc cóż teraz pocniemy? Czem się zajmujemy? Co?

KRÓL No?

SZAMBELAN Hę?

IWONA Nie wiem.

KRÓL Nie wiem? Nie wiem? Nie można przecież nie wiedzieć! Nie można cały dzień chodzić po domu i nic — i nic! Bębnić palcami po szybie. To nudno. Nudno przecież *spogląda po wszystkich w osłupieniu* Nudno! Bójcie się Boga!

SZAMBELAN Nudno.

KRÓLOWA Nudno, ptaszyno *śmieszki dworzan*

WALENTY *uchodząc* Proszę księcia pana, pan doktor przyszedł i czeka w galerji.

KSIAŻĘ Najjaśniejsi Państwo pozwolą — Iwono... *Książę i Iwona wychodzą*

KRÓLOWA Filipie! Proszę na chwilę! Filipie!

Książę wraca.

KRÓLOWA *do dworzan* Odejdźcie panie i panowie, gdyż mamy do pomówienia z synem naszym, księciem - następcą tronu *dworzanie odchodzą* Jakże słodkie są dobre uczynki i ile cichego szczęścia wnosi w nasz dom ta ptaszyna, dla której jak widzisz, jesteśmy ojcem i matką. Tylko czyby nie można włożyć, aby trochę więcej się udzielała? Dziś znowu milczała przez cały podwieczorek. Przy obiedzie także milczała. Milczała również przy śniadaniu. A pozatem milczy wogóle przez cały czas. Jak to wygląda i jakże my wyglądamy vis-à-vis tego milczenia? Filipie, musi przecie być zachowana przyzwoitość.

KSIAŻĘ *sarkastycznie* Przyzwoitość!

KRÓLOWA Filipie, synu, czyż nie jesteśmy dla niej z całym matczynym sercem? Stanowisko nasze jest tutaj proste i piękne jak przystoi osobom naszej kondycji monarszej — nie bacząc na liczne jej błędy, kochamy ją za to że cię kocha.

KSIAŻĘ Kochacie ją! Kochacie! W każdym razie — nie radziłbym nie kochać jej! *wychodzi*

KRÓLOWA Ileż wielkoduszności prawdziwie monarszej w tym chłopcu! Ignacy, nie jesteś może dość uczuciowy wobec niej — ona się ciebie boi.

KRÓL Boi się... Ha, jak to ona tak chodzi po kątach i tak wygląda to jednemu do drugiemu oknem. I nic *zdumiony* I nic! Wypatrzy nam wszystkie okna. Boi się... *do szambelana* Dajno raporty, A, Francja znowu się burzy. Będę musiał wyrzucić mego ambasadora... hm... ale ma żonę i dziecko. Co tam, niech jeszcze posiedzi *do siebie* Boi się, a sama nie wie czego? Bać się mnie? *do królowej* A ty także zanadto tańczysz koło niej *przedrzeźnia* Gruszczyka, ciasteczko... Jakbyś była nie królową, ale właścicielką pensjonatu.

KRÓLOWA Tak, ty zwłaszcza masz naturalny sposób bycia wobec niej — nigdy się nie odezwiesz, żeby wpiernić nie przełknąć śliny. Łudzisz się może że nie słychać. A mówisz z nią tak jakbyś się bał.

KRÓL Ja? Jakbym się bał? To ona się boi *ciszey* Szelma.

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie, majestat Najjaśniejszego Pana zdaje się onieśmielać ją, i nie mogę się temu dziwić, gdyż ja sam doświadczam w obliczu majestatu pewnego świętego drżenia, zazwyczaj pod lewą łopatką. Ale pozwoliłbym sobie zaprojektować, aby Najjaśniejszy Pan spróbował pogadać z nią naboczku... Ośmielić trochę...

KRÓL Ja mam z nią naboczku? Z tą Cimcirymci?

KRÓLOWA To doskonała myśl. Trzeba ją troszkę oswoić — naj-

pierw naboczku i w cztery oczy, a potem przyzwyczaj się do nas, i w ten sposób położymy kres temu jej nieznośnemu zahukaniu i zatrwożeniu. Ignacy, nie bądź dzieckiem. Zaraz ją tu przysłę pod jakimkolwiek pozorem, Filip jest teraz na konferencji z lekarzem. Przysłę ją niby po włóczkę, a ty bądź dla niej ojcem *wychodzi*

KRÓL Szambelanie, czasem wystrzelisz — o czym ja z nią będę gadał?

SZAMBELAN Ależ Najjaśniejszy Panie, to najzwyczajniejszy zabieg towarzyski — podejść, uśmiechnąć się, zagadnąć, powiedzieć jakiś żarcik — wtedy ona naturalnie będzie musiała uśmiechnąć się albo nawet roześmiać — wtedy Najjaśniejszy Pan znów się uśmiechnie — i tak z uśmiechów splecie się to co nazywamy atmosferą współżycia towarzyskiego.

KRÓL Uśmiechnę się, uśmiechnę... To ja mam przed nią skakać dla tego, że jest nieśmiała? Szambelanie, już ty to załatw *chce odejść*

SZAMBELAN Ależ Najjaśniejszy Panie, Najjaśniejszemu Panu chyba nie pierwszozna — uśmiechnąć się i ośmielać — zarówno jak onieśmielać. Ja także niejednego onieśmielałam swoją, rzecz jasna, nieskończenie mniej świetną sytuacją społeczną, jakoteż osobistym stylem i rodzajem swoim, ale przywykłam.

KRÓL Tak, ale ona się boi... Uważasz... tego... boi się szelma.

SZAMBELAN Każdy się boi cokolwiek.

KRÓL Tak, ale ona jakoś dziko — jakoś dziko się boi *w strachu* Szambelanie, ona dziko się boi. Oho, idzie. Czekaj, nie będę przecież sam się wygłupiał. Nie odchodź, zostań. E, e, e, *przybiera przyjemny wyraz twarzy — Iwona wchodzi* A, a, a, prosimy. *Iwona zbliża się, rozgląda.*

KRÓL *dobrotliwie* No, no, cóż tam — cóż tam?

IWONA Włóczka...

KRÓL Włóczka?

IWONA Włóczka...

KRÓL O, o! Tutaj włóczka *śmieje się*

IWONA *bierze włóczkę*

KRÓL He, he, he —

IWONA *milczy*

KRÓL Włóczka się zapodziała?

IWONA Włóczka

KRÓL Hem, hem! *podchodząc* No, no, cóż tam? No, no *śmieje się* No? Tak jakbyśmy trochę tego... trochę obawiali się? Co? Nie ma czego! No! — niema czego! *niecierpliwie* Kiedy mówię, że niema czego!

IWONA *cofa się zlekką*

KRÓL Ja przecież jestem ojciec... ojciec Filipcia, tata? Tfy! Nie tata, ale ojciec! W każdym razie... Nie jestem przecież obcy *podchodzi, Iwona się cofa* Nie trzeba znów tak... Jestem zwykły so-

bie człowiek. Zwykły no — nie jestem król Herod! Nikogo nie pozarłem. Niema się czego bać! Nie jestem zwierzę. Mówię, że nie jestem zwierzę! Nie jestem zwierzę! *zdenerwowany* Niema się czego bać! Nie jestem zwierzę przecież! *podchodzi, lwona cofa się gwałtownie, upuszcza włóczkę, król krzyczy* No, mówię, niema się czego bać! Do djabła! Do djabła!!!

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie!

KRÓL Łajdaczka jedna! *Iwona wycofuje się cicho i z dzikim strachem*

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie!

KRÓL Boi się. Boi się! Boi się!!! Boi się — psiakrew. Jak to się boi... Caca... Mumu... Tete...

SZAMBELAN Powiedziałbym, że nawet bać się nie potrafi. Niektóre z dam dworu boją się cudownie — z wdziękiem, z pikanterją — a ta tak jakoś na goło z *niesmakiem* Na golasa!

KRÓL Ha! Coś mi się przypomniało.

SZAMBELAN Przypomniało się?

KRÓL Boi się. Szambelanie, pamiętasz ty tę... co to tego... co to my... Dawno już. Jak to się zapomina.

SZAMBELAN Kogo, Najjaśniejszy Panie?

KRÓL Dawno. Ja sam na śmierć zapomniałem. Dawno. Ja byłem wtenczas jeszcze księciem, a ty zaledwie projektem na szambelana. Tę małą, co to tego... Co to myśmy... Bodaj właśnie na tej kanapie. To była zdaje się szwaczka...

SZAMBELAN Aha, szwaczka, kanapa... Hej, młodość, młodość, cóż to za czasy cudowne *wchodzi Walenty* Co tam, Walenty? Proszę nie przeszkadzać *Walenty wychodzi*

KRÓL Ona potem umarła, co? Utopiła się bodaj...

SZAMBELAN A jakże! Jak dziś pamiętam. Poszła na most i z mostu w rzekę... Hej, młodość, młodość, niema nic piękniejszego nad młodość.

KRÓL Nie uważasz, że była podobna do tej tu Cimcirymci?

SZAMBELAN Ależ, Najjaśniejszy Panie, ta jest rozlana blondyna, a tamta była z typu suchych brunetek z pieprzykiem na lewym policzku.

KRÓL Ba! Ale bała się tak samo. Caca. Mumu. Bała się w ten sam sposób. Bała się jak wszyscy djabli — szelma!

SZAMBELAN Jeśli Najjaśniejszemu Panu to wspomnienie sprawia choć odrobinę przykrości, najlepiej nie pamiętać. Najlepiej nie pamiętać umarłych kobiet. Umarła kobieta nie jest kobietą.

KRÓL Bała się i tak samo była jakaś — zmaltretowana. Na tej kanapie. Że też zawsze ktoś, kiedyś coś... Tfy, tfy! Jak wszyscy djabli — szambelanie, jak wszyscy djabli mi się przypomniało *wchodzi królowa*

KROLOWA Winszuję! Cudownie ją ośmieliłeś! Doskonale ją ośmie-

liłeś! Biedaczka jeszcze się trzęsie. Jaki giez ugryzł cię, Ignacy?
Wszystko zepsułeś!

KRÓL Djabli, djabli. Nie zbliżaj się do mnie, pani.

KRÓLOWA Co ci się stało? Dlaczego mam się nie zbliżać?!

KRÓL Dlaczego? Dlaczego? Wszystko dlaczego? Czy nie wolno mi już mieć życzeń? Czy jestem pod kuratelą? Czy nie jestem panem we własnym domu? Czy ze wszystkiego muszę się tłumaczyć? A dlaczego mi się przyglądasz? Dlaczego patrzysz na mnie? A co? A jak? Dlaczego ją wykrzyczałem? Dlatego że ona mi coś przypomina!

SZAMBELAN Najjaśniejszy panie, może lepiej nie wtajemniczać Najjaśniejszej Pani w ten nic nie znaczący szczegół.

KRÓL Przypomina mi coś, ale o tobie! O tobie, moja kochana!

KRÓLOWA O mnie?

KRÓL Ha, ha, ha, cóż się tak patrzysz? Djabli, djabli, Małgorzato, przyznaję, że się uniosłem, ale wyobraź sobie, rzecz dziwna, nie mogę spojrzeć na tę ptaszynę, żeby mi zaraz nie przyszło na myśl coś o tobie. Nie chciałem tego mówić, bo to jest trochę krępujące, ale kiedy się pytasz, będę szczery. Bywa, że jedna osoba przypomina — nam jakieś grzeszki albo słabostki innej osoby, a kiedy widzę Cimcirymci, jak ona tak rusza się... tak gmerze, grzebie się... uważasz, tak jakoś ciamka się w sobie... to zaraz coś mi się przypomina o tobie, zaraz mi się nasuwają pewne słabostki...
Twoje...

KRÓLOWA Ona ci przypomina moje słabostki?!

KRÓL Właśnie to! Właśnie to, co masz teraz na myśli! Powiedz mi zaraz, co? Powiedz mi co, a okaże się czy o tem samem myślimy.
Powiedz mi na ucho!

KRÓLOWA Ignacy! O czem ty mówisz?

KRÓL Ach więc to tak, moja pani! Więc i my mamy swoje sekrety!

KRÓLOWA Zapominasz się!

KRÓL Ja właśnie sobie przypominam! Przypominam sobie! Już ja sobie wszystko przypomnę! Cucu! mumu! *wychodzi gwałtownie*

KRÓLOWA Co to ma znaczyć?!

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie! *wybiega*
Królowa stoi zamysłona, przykłada do czoła palec. Wchodzi Iza i mizdrzy się.

KRÓLOWA Przestań się mizdrzyć!

IZA *zawstydzona* Najjaśniejsza Pani...

KRÓLOWA Ciągłe się mizdrzysz. Odkąd ta... ta... nieszczęśliwa zjawiła się na dworze, mizdrzycie się wszystkie bez przerwy.
Chodźno tu, moja panno. Muszę cię o coś zapytać.

IZA Najjaśniejsza Pani...

KRÓLOWA Spójrz mi w oczy. Przyznaj się — czyś ty nikomu nie powiedziała, czyś ty nie rozpaplała komu o... o moich wierszach? Przyznaj się, nie wytrzymałaś i powiedziałaś!

IZA Najjaśniejsza Pani!

KRÓLOWA Więc nic nie powiedziałaś? Nikomu? W takim razie nie wiem, skąd on mógł się dowiedzieć. Najpewniej musiał znaleźć pod materacem mój zeszyt.

IZA Kto Najjaśniejsza Pani?

KRÓLOWA To tylko to, nic innego. Tylko to miał na myśli! Czekaj no — powiedz mi szczerze, mów ze mną jakbym nie była królową, zwalniam cię chwilowo od wszelkich należnych względów. Powiedz mi prawdę, czy nie myślisz, że jest coś w tej Iwonie co przypomina jakoś... moje utwory? W jej chodzie, na przykład? W jej nosie? W spojrzeniu, w całym sposobie bycia? Och, nie twierdź żeby takie były, ale w poezji wszystkiego można się doszukać. Coś limfatycznego i rozwiązłego zarazem, co przypomina... moje wiersze? Przecież czytałam ci wszystkie. Czy nie sądzisz, że moje utwory są — och, nie mówię tego — limfatyczne i rozwiązłe? Anemiczne i skrofaliczne? Że mogą wydawać się trochę nie-mrawe, co? Że mogą przypominać Iwonę?

IZA Jakim cudem tak nieestetyczna narzeczona może przypominać tak piękne i wzruszające poezje, które Najjaśniejsza Pani przez skromność jedynie tai przed światem.

KRÓLOWA Nie powiesz mi prawdy! Wiem dobrze, że nie powiesz królowej prawdy. Niech ci się zdaje, że wcale o tem z tobą nie mówiłam. Przysięgnij zaraz, że nie piśniesz słówka ani o moich utworach, ani o tem co teraz ci powiedziałam. Przysięgnij, przy tych świecach!

IZA Mogę dać słowo honoru.

KRÓLOWA Przysięgnij. To poważniejsze, niż myślisz. Przysięgnij, inaczej nie będę miała chwili spokoju. Na kolanach przysięgnij!

IZA Najjaśniejsza Pani, ja nigdy nie przysięgałam.

KRÓLOWA Tylko bez fałszywego wstydu. Prędszej, na kolana. Powtarzaj ze mną: przysięgam *wchodzi księżę, za nim król i szambelan*

KSIAŻĘ Matko, chciałbym pomówić z tobą. O, przepraszam. Przerwałem jakieś czary.

KRÓLOWA Nie, nie, ona mi pantofel poprawia. Za luźne kupiłam pantofle.

KSIAŻĘ Dlaczego król przestraszył moją narzeczoną?

KRÓLOWA Filipie, tylko nie tym tonem!

KSIAŻĘ A jakim? Jakim, jeżeli mój ojciec rzuca się bez powodu na moją narzeczoną i krzyczy na nią — brutalnie! Jeżeli moja narzeczona jest niemal sparaliżowana ze strachu. Jeżeli nie mogę oddać się na moment, abyście nie zaczęli wyrabiać z nią co się wam żywnie spodoba? Zdaje mi się, że jestem wyjątkowo spokojny *wchodzi Walenty* Precz Walenty. Matko, chciałbym pomówić z tobą w cztery oczy.

KROLOWA Zgodzę się na tę rozmowę w cztery oczy, ale powiedz wpieryw co chcesz powiedzieć.

KSIAŻĘ Widzę, pani, że masz się na baczności. Matko, przepraszam, że powiem coś... coś co zabrzmie dosyć dziwacznie i ekscentrycznie. Nie wiem, jak mam to ująć w słowa. Podobno ona królowi jakieś twoje grzechy przypomina?

KROLOWA Kto ci powiedział?

KSIAŻĘ Ojciec! Powiedział mi, że ją wykrzyczał, ponieważ ona mu jakieś twoje intymne grzechy przypomina *wchodzą król i szambelan*

KROLOWA Ignacy, coś ty znowu nagadał Filipowi?

KRÓL *zażenowany* Nagadałem? Nic nie gadałem. Nudził mnie, więc mu powiedziałem. A co? A jak? A dlaczego? Powiedziałem prawdę. Wolę żeby ciebie nudził, niż mnie.

KROLOWA Ignacy!

KSIAŻĘ Zaraz... zaraz. Zważcie, w jakim stawiacie mnie położeniu. Nagle ni stąd ni zowąd ojciec rzuca się na moją narzeczoną. Rzuca się na nią, a kiedy ja zapytuję o powód, do czego jak sądzę mam pełne prawo, mówicie takie rzeczy, że niewiadomo co z tem począć, jak zabrać się do tego. Jakto? Matka ma grzechy i dlatego ojciec rzuca się na narzeczoną?

KRÓL Tak, rzucam się. Ja jestem rzucający się ojciec. A co, co, może ty myślisz, że co? Że ja spowodu własnych grzechów? Małgorzato, co się tak patrzysz? Jeżeli będziesz mi się przyglądała, to ja tobie będę się przyglądał.

KSIAŻĘ Rodzice przyglądają się sobie wskutek mej narzeczonej. Matka ojcu a ojciec matce przygląda się spowodu narzeczonej.

KRÓL No, no, Fipek, nie rób z tata warjata. Uspokój się... Już ja tam jakoś załagodzę.

SZAMBELAN Pozwólcie Najjaśniejsi Państwo, że wtrącę kilka treściwych zdań, gdyż obserwuję narastające nieporozumienia na tle jak gdyby załamania nerwowego. Książę, przecież właściwie nic się nie stało. Najjaśniejsi Państwo chcieli być zadowolony, nazbyt szlachetni wobec nieszczęsnej, która wzbudzać może tylko abominację. Nerwy poniosły Najjaśniejszego Pana, nastąpiła reakcja, wykrzyczał ją. Co może być zwykleszego? Na Boga żywego, gdzież tu pole do jakichś grzechów i tym podobnych szaleństw? Najjaśniejszy Pan powiedział to tak — na odczepne, był to żarcik, typowy żarcik, nic więcej.

KRÓL Żarcik, żarcik, synu. Doskonale to wytłumaczył. Nie bierz tego do serca.

KROLOWA Filipie, ojciec się zdenerwował i odpowiedział ci byle co, żebyś nie męczył go pytaniami. Nie warto dłużej zajmować się tą niedorzecznością. Przejdźmy do innych tematów.

KSIAŻĘ Pani, ja wiem, że to niedorzeczne.

KROLOWA Nie mówmy o tem. Jestem pewna, że po paru dniach

twoja ptaszyna przyzwyczai się do nas, a my przyzwyczaimy się do niej. Zupełna niedorzeczność!

KSIAŻĘ Jak najbardziej niedorzeczne. Ba głupie. Sztuczne. Idjotyczne nawet *kłania się*

KROLOWA Dlaczego mi się kłaniasz?!

KSIAŻĘ Bo ja sam jestem nieco idjotyczny — wobec niej...

KROLOWA Ty jesteś idjotyczny?

KSIAŻĘ Trudno to nazwać inaczej. Nie kocham jej. Bardzo wierzę, że wy zachowujecie się idjotycznie i bez sensu wobec niej, bo ja sam tak się zachowuję — wobec niej.

KRÓL No, no, tylko nie pozwalaj sobie za dużo *książę się kłania*

Dlaczego mi się kłaniasz, osłe? Czego?

KSIAŻĘ Z nią na wszystko można sobie pozwolić.

KRÓL Co? co? Na wszystko? Ja sobie na nic nie pozwalam. Czego chcesz ode mnie? Szambelanie *cofa się* Te... Hm... A to co znowu?

KROLOWA Filipie, co mają znaczyć te ukłony? Przestań się kłaniać!

KRÓL *na stronie* Ścierwo! Ścierwo!

SZAMBELAN Jeżeli z nią można sobie na wszystko pozwolić, to nie znaczy, by książę z nami miał sobie pozwalać *książę kłania mu się* — *odskakuje* Tylko nie mnie! Dlaczego mnie! Ja nie mam z tem nic wspólnego! Proszę nie zbliżać się do mnie!

KSIAŻĘ Do niej każdy może się zbliżyć. Za włosy złapać. Za ucho!

KRÓL *nagle* Ha, ha, ha! *milknie zawstydzony* Te... tego... Hm...

SZAMBELAN Książę, jeżeli książę mnie dotknie, to ja...

KSIAŻĘ Ja każdy może dotknąć! Wierzcie mi, możecie z nią wyrażać co się wam żywnie zechce. Ona jest taka, że z nią — na wszystko! Nieśmiała jest. Nie zaprotestuje. Niesympatyczna jest. Wszystko można. Możesz z nią być idjotyczny, obskurny, głupi, straszny, cyniczny — jak chcesz — jak ci się podoba *kłania się szambelanowi* Jak wola... Jak wola...

SZAMBELAN *odskakuje* Mnie to nic nie obchodzi! To dla mnie obojętne *kłania się księciu* Dowidzenia. Dowidzenia *wychodzi*

KRÓL Ścierwo. Ścierwo. No, no, Filipek... Co się tak patrzysz? Dowidzenia *kłania się* Dowidzenia. Won! Won! *wychodzi*

KROLOWA Co to ma znaczyć?! Wytłumacz mi, co to ma znaczyć, dlaczego mówisz... Dowidzenia, dowidzenia *wychodzi*

KSIAŻĘ *za nimi* Wszystko można! Wszystko! Co kto chce *do siebie* A ona tam siedzi, siedzi gdzieś pod piecem i kocha mnie — i kocha mnie! Kocha mnie! Wszystko wolno! Wszystko można! Co się komu podoba! Wszystko! *spozostreżę* Iżę, która podniosła się z krzesła w głębi, na którym siedziała przez całą tę scenę, i chce wyjść — *podchodzi do niej i całuje ją w kark* Można się z nią nie krępować!

IZA Proszę mnie puścić!

KSIAŻĘ Ach! Niech pani się nie krępuje! Można *całuje ją w usta*
Ach! Rozkosz...

IZA *wydzierając się* Bo będę krzyczała!

KSIAŻĘ Kiedy mówię pani, niech pani się nie krępuje, z nią można
wszystko! Przepraszam! Nie chciałem właściwie. Jakoś tak sa-
mo... Przepraszam, co ja zrobiłem? Zachowałem się jak
warjat.

IZA Bezczelność!

KSIAŻĘ Błagam, niech pani nie mówi o tem nikomu, bo jeśli to
dojdzie do mojej narzeczonej, ona będzie cierpieć... Będzie cierpieć!

IZA Ale niech książę mnie puści!

KSIAŻĘ *trzymając ją ciągle* Zaraz, zaraz... A zresztą niech cierpi.
całuje Co za nosek, co za usteczka! Nie odchódź! Zdaje się, że ją
zdradziłem. To straszne!! Nie, to nic straszego. Ach, jak łatwo
woła Walenty! Walenty!

IZA *wydzierając się* Ależ proszę przynajmniej nie wołać.

KSIAŻĘ Przeciwnie, przeciwnie, złotko... *wchodzi* Walen-
ty, proszę natychmiast poprosić pana Cyryla, aby przyprowadził
tu pannę Iwonę! Prędko! *Walenty wychodzi* Niema mowy o tem,
żebym cię puścił. Teraz dopiero, z tobą, czuję się na miejscu. Ach,
co za rozkosz trzymać w ramionach istotę, która nie odpycha,
lecz przyciąga. Przysłę ci kwiatów. Ach, jak łatwo. Muszę wyzys-
kać tę łatwość. Znowu odzyskałem łatwość! Kocham cię!
wchodzi Cyryl i Iwona Cyrylu, to jest obecna moja narzeczona!

CYRYL Jakto?!

KSIAŻĘ Iwono, muszę poczynić ci pewne zwierzenia. Właśnie przed
chwilą zdradziłem cię z Izą. Przystajesz być moją narzeczoną.
Przykro mi, że sprawiam ci ból, ale nic na to nie mogę poradzić.
Nie masz sex-appealu, który Iza posiada w wysokim stopniu. Nie
miej do mnie urazy, że zawiadamiam cię w ten sposób, tak lek-
ko, ale postanowiłem wyzyskać pewną łatwość, która nagle za-
panowała w naturze dzięki tobie... dzięki tobie, skarbie *całuje*
Izę w rękę, do Iwony Cóż tak stoisz? Możesz sobie stać ile wle-
zie, to wszystko jedno! Żegnaj mi! Odchodzę, odpływam, odsu-
wam się, oddalam, zrywam z tobą! Nic nie wystoisz!

CYRYL Nic nie wystoi! Już nic nie wystoi choćby stała dziesięć
lat! Książę znowu jest księciem! Cóż za wspaniała, cudowna nie-
spodzianka!

KSIAŻĘ *do Izy* Przepraszam cię, złotko, zapomniałem spytać, czy
się zgadzasz? Nie odmawiaj mi *całuje ją w rękę* O, każdy taki
gest uzdrowia. Zaraz wydam stosowne dyspozycje. Nie trzeba
ukrywać przed światem faktu naszych zaręczyn. Rodzice się
ucieszą. Szambelan... Ten poczciwy szambelan! Dworzanie...
wszystkim kamień spadnie z serca. Rzeczywiście, atmosfera za-
czynała być niemożliwa *do Iwony* Cóż tak stoisz? Zdaje mi się,

że między nami już wszystko wyjaśnione. Na co czekasz jeszcze, moja droga?

CYRYL Ona sama się nie ruszy.

KSIAŻĘ Zawezwij tego jej amanta, niech ją zabiera sobie, a w każdym razie niech ją zabierze z dworu i odstawi do miejsca jej stałego pobytu.

CYRYL Natychmiast go tu sprowadzę i wyekspedjujemy ją. Natychmiast, książę! Tylko... żeby ona tu nie wystąpiła czego? Boję się, że ona tu przez ten czas coś wystoi.

KSIAŻĘ Nic się nie bój! *Cyryl wychodzi* Możesz sobie stać ile wlezie, już mnie nie zdołasz postawić w głupiej sytuacji. Zmieniłem się. Zmieniłem ton, i zaraz wszystko się zmieniło! Stoisz jak wyrzut sumienia, ale mnie to nic nie obchodzi! Stój sobie jak chcesz! Ha, ha, ha! Zresztą ty lubisz, jak ci sprawiają ból, gdyż nie masz sex-appealu. Ty sama nie lubisz siebie i jesteś swoim wrogiem, dlatego wszystkich podświadomie prowokujesz i judzisz przeciwko sobie, dlatego z tobą każdy czuje się zbójem i łotrem. Ale choćbyś tu rok przestała, twoja ponurość i trudność nie przewyciężyły mojej lekkomyślności i łatwości *śmieje się do niej figlarnie i okręca się z Izą*

IZA Może lepiej nie mówić jej tego — teraz? Trochę litości, Filipie.

KSIAŻĘ Nie, nie, żadnej litości. Tylko lekkomyślność! Już ja ją znam — mam doświadczenie. Przedewszystkiem trzeba wogóle coś mówić, póki ona tu czeka, a po wtóre, trzeba jej mówić właśnie najgorsze rzeczy tonem lekkim, wesołym. O to chodzi, żeby jej mówić najbardziej przykre i nieprzyzwoite rzeczy tonem niewinnym i bagatelizującym. To nie pozwala jej zaistnieć — to nie dopuszcza do głosu jej milczenia, a jej stanie czyni nieobowiązującym, to ją umieszcza w sferze, w której ona jest bezradna. Nie troszcz się o mnie, już teraz nic mi nie grozi. Szalenie łatwo zerwać łączność z człowiekiem, jest to przedewszystkiem kwestja zmiany tonu. Niech stoi tu, owszem, bardzo proszę, niech stoi i patrzy się... A zresztą chodźmy. Racja, nie przyszło mi do głowy, że można po prostu odejść. Jeśli ona stoi, to my chodźmy *Iwona schyla się*
Nie kłaniaj mi się!

IWONA Ja się nie kłaniam.

KSIAŻĘ Połóż to! Coś ty podniosła! Co to jest? Włos? Poco ci to? Czyj to włos? To włos Izy. Połóż to — chcesz to wziąć? Poco ci to?

IWONA Tak sobie *wchodzą Cyryl i Inocenty*

INOCENTY Przepraszam, tak się nie robi, książę! Książę rozkochał w sobie dziewczynę, żeby teraz odepchnąć ją! Pańskie kaprysy! Książę unieszczęśliwił ją na całe życie. Ja protestuję!

KSIAŻĘ Co? Co? Pan protestuje?

INOCENTY Przepraszam, ja staram się protestować *pod wpływem groźnego spojrzenia księcia nagle siada*

KSIAŻĘ Patrzcie, jak ten człowiek usiadł na swoim proteście. Ha, ha, ha.

CYRYL Usiadł na nim, jak pies na ogonie. Przysiadł go, żeby mu nie uciekł! No jazda! Zabieraj pan swoją magnifikę.

KSIAŻĘ Stójcie! Niech odda włos!

CYRYL Jaki włos, panie?

KSIAŻĘ Iwono, oddaj ten włos! Niech odda włos!

IZA Włosów mam poddostatkiem... Filipie...

KSIAŻĘ Nie, nie, niech odda! Ja wiem poco ona go bierze. Ona bierze go na pamiątkę! Ona będzie się rozkoszowała nim gdzieś tam... lubowała się... Tfy, tfy! Oddaj! *odbiera jej* Tak, ale to wszystko jedno. Bez włosa też będzie się lubowała i rozkoszowała. Idźcie stąd. Ja zaraz się zastanowię. Poczekajcie na mnie. Idźcie tymczasem, ja zaraz przyjdę. Cyrylu! *wychodzą wszyscy prócz Cyryla* Zatrzymaj ją jeszcze na zamku. Nie pozwól, żeby odeszła. Powiedz im, że narazie nie można jeszcze rozgłaszać o naszym zerwaniu. Niech wszystko zostanie jeszcze tak jak jest.

CYRYL Wiedziałem, że ona coś wystoi. Książę znowu zaczyna!

KSIAŻĘ Właśnie chcę skończyć raz na zawsze. Nie przestrasz się. Ja będę musiał ją... *pokazuje na gardło*

CYRYL Co?! Kogo?!

KSIAŻĘ Iwonę.

CYRYL Książę, niech książę nie szaleje, błagam na wszystkie świętości. Przecież już załatwione. Już książę z nią zerwał. Odeśle się ją do domu. Już jej nie będzie.

KSIAŻĘ Tu jej nie będzie — ale będzie gdzieindziej. Gdziekolwiekby była, zawsze będzie. Ja tu będę, a ona tam... Brrr... Nie chcę. Wolę raz zabić!

CYRYL Książę wyzdrowiał przecież!

KSIAŻĘ Daję ci słowo, najzupełniej. Zakochałem się w Izie do szalu. Cierpienia tej biedaczki są mi najzupełniej obojętne. Ale Cyrylu, chodzi o to, że ona będzie *lubowała się*, ona będzie rozkoszowała się nami, naszą miłością... Ta cierpiętница, poniżona, przekreślona, wróci do siebie i będzie rozkoszowała się tem, że ja z Izą — będzie marzyła o tem... Tfy, tfy! Zabiję! Nie chcę żeby wyobrażała to sobie... po swojemu... Oczywiście, wiem że tego zazwyczaj się nie robi, nie zabija się. Nie, napewno nie ma teraz we mnie odrobiny przesady ani w prawo ani w lewo z *lekkim niepokojem* musisz przyznać chyba, że na to nie wyglądam.

CYRYL Książę, czy książę chce ją zabić dosłownie, to znaczy niby poprostu wziąć i zabić? To kryminał.

KSIAŻĘ Cyrylu, tylko jeszcze ten jeden jedyny wybryk, ta jedna ekscentryczność, żeby potem nie było więcej żadnych. Zresztą zrobi się gładko, chłodno, trzeźwo, lekko — zobaczysz, to tylko z pozoru jest straszne, w gruncie rzeczy to zwykła operacja, ope-

racja nic więcej. Taką cherlaczkę zabić bardzo łatwo, ona sama się o to prosi. Czy obiecujesz mi pomoc?

CYRYL Niech Bóg skarże tę lajdaczkę, która zmusza księcia do takich czynów okropnych!

KSIĄŻĘ Zabrnęliśmy w nią i trzeba wybrnąć. Tymczasem trzeba zachować jeszcze w tajemnicy moje zaręczyny z Izą. Nie mówcie o tem nikomu. Wszystko niech zostanie tak jak jest do jutra. Jutro obmyślę sposób najdogodniejszy. Ale musisz mi pomóc, bo ja sam... ja sam nie chcę, muszę z kimś... sam nie będę robił.

AKT IV

Komnata zamkowa.

Przy dźwięku trąb wchodzi król, za nim trzech dostojnicy.

KRÓL *roztargniony* Dobrze już, dobrze. Nudzicie mnie tylko. Mam trochę ważniejsze sprawy na głowie. Czy jeszcze co?

KANCLERZ Najjaśniejszy Panie, idzie jeszcze o ustalenie, w jakim stroju wysłać do Francji naszego nadzwyczajnego posła i pełnomocnego ministra? Czy ma jechać we fraku, czy w mundurze?

KRÓL *ponuro* Niech jedzie na golasa *zdziwienie dostojników* Przepraszam, jestem dziś roztargniony. Niech jedzie jak chce, byle na własny koszt.

DOSTOJNICY Tego właśnie orzeczenia spodziewaliśmy się po niezwykłej mądrości Najjaśniejszego Pana.

MARSZAŁEK Najjaśniejszy Panie, na dziś wieczór zarządzona jest wielka uczta z okazji tak wzniosłych zaręczyn księcia Filipa z przedstawicielką najniższych sfer społeczeństwa, panną Iwoną Copek. Czy Najjaśniejszy Pan miałby jakie życzenia co do menu?

KRÓL Dajcie zgniliznę *zdziwienie dostojników* to jest raczej tego — dziczynę, dziczynę, chciałem powiedzieć. Co się tak na mnie gapiacie?

DOSTOJNICY Tego właśnie orzeczenia spodziewaliśmy się po niezwykłej mądrości Najjaśniejszego Pana.

WIELKI SĘDZIA Najjaśniejszy Panie, jeszcze chwileczkę — oto prośba o ułaskawienie starego Chlipka z wnioskiem przychylnym wszystkich dwunastu instancji.

KRÓL Co? Ułaskawić? Na śmierć go!

DOSTOJNICY Najjaśniejszy Panie!

KRÓL Na śmierć, mówię. Cóż się tak na mnie gapiacie? Do mnie należy prawo łaski. A ja właśnie nie ułaskawiam. Niech umrze! Na śmierć łotra, nie dlatego, że on jest łotr, ale że ja... Hm... Tego... Co to chciałem powiedzieć? Wszyscy jesteśmy łotrami. Wy też jesteście. Przestańcie gapić się na mnie. Patrzcie gdzie chcecie, byle nie na mnie. Dość mam tego wiecznego gapienia się na mnie. Od dziś zapowiadam, żeby nikt nie śmiał gapić się na mnie. Każdy tylko patrzy i patrzy.

DOSTOJNICY Tego właśnie orzeczenia spodziewaliśmy się po niezwykłej mądrości Najjaśniejszego Pana.

KRÓL No, no, wynosić się. Dostyc już tego gładzenia. A nie próbujcie się dziwić. Niech mi się nikt nie dziwi. Za dobrotliwy byłem dotąd! Od dziś pokażę co umiem, za mordę wezmę *dostojnicy kłaniają się* No, no, nie kłaniać mi się! Zabraniam się kłaniać! Każdyby tylko się kłaniał. Precz! Precz! *dostojnicy wychodzą strwożeni, król rozgląda się podejrzliwie, poczem chowa się za kanapę*

Szambelan wchodzi, rozgląda się podejrzliwie i ukradkiem, jakby odniechcenia i w tajemnicy przed sobą, złośliwie, zaczyna przestawiać meble, posuwa fotel, zawija róg dywanu, przewraca książki na półce dogóry nogami, rzuca na podłogę pestkę od śliwki i t. d. Sposstrzega króla.

SZAMBELAN O!

KRÓL Hm... hm...

SZAMBELAN Najjaśniejszy Pan?!

KRÓL Tak, to ja. A ty tu czego?

SZAMBELAN Ja? Niczego.

KRÓL *ponuro* Dziwisz się pewnie, że mnie tu zastajesz *gramoli się* Dziwisz się — teraz taka moda, że każdyby się tylko dziwił... Ja tutaj się tak zacząłem, rozumiesz — przyczałem się.

SZAMBELAN Najjaśniejszy Pan się zaczął? Na kogo?

KKÓL Na nikogo. Na nikogo specjalnie. Zaczaiłem się dla przyjemności *śmieje się* Uważasz, ten pokój przytyka do apartamentów Cimcirymci. A Małgorzata także musi tędy przechodzić i nieraz tu przesiaduje. Są tu niektóre rzeczy do widzenia. Chciałbym to widzieć. Chciałbym zobaczyć to na własne oczy.

SZAMBELAN Co?

KRÓL Małgorzatę.

SZAMBELAN Najjaśniejszą Panią?

KRÓL Najjaśniejszą Panią — uważasz, jak to ona sobie, jak to ona sobie jest, kiedy nikt nie widzi. Tyle lat z nią żyję a właściwie nic o niej nie wiem. Ona coś ma na sumieniu. Hm... A może ona — może ona — może ona... Ba, ba, czego to ona nie mogłaby. Wszystko może. W głowie się kręci, kiedy pomyślę o tem. Może mnie zdradza? Najpewniej mnie zdradza. A może co innego. Wszystko! Wszystko! — Chciałbym zobaczyć jej grzechy...

SZAMBELAN Najjaśniejszy Pan za kanapą...

KRÓL Milcz, osłe. Umyslnie chowam się za kanapę, żeby mnie nikt nie zobaczył. Za kanapą można! *śmieje się* Można! Szambelanie, a ty tu poco? Poco przestawiasz te meble i wdajesz się w te zalotne kon-szachty z martwą naturą?

SZAMBELAN To? Takie sobie...

KRÓL Takie sobie? Jeżeli takie sobie, to mów! Ja także tylko tak sobie.

SZAMBELAN Tak chodzę po zamku i tak trochę...

KRÓL Co?

SZAMBELAN *śmieje się* Utrudniam.

KRÓL Utrudniasz?

SZAMBELAN Siadanie naprzykład. Trudniej usiąść, gdy fotel tak stoi *śmieje się* Można się obok...

KRÓL Szambelanie, poco ty pestki podrzucasz?

SZAMBELAN Chodzenie utrudniam.

KRÓL Chodzenie? *ponuro* Aa, to tobie także dojadła... Cimcirympi. No, no, nic, nic.

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie, ja jestem człowiek pewnego poziomu towarzyskiego, jestem światowiec, nie znoszę pewnych... Najjaśniejszy Panie, jeżeli to dłużej potrwa, nie wiem do czego dojdzie ta jakaś czelność, zuchwałość... rozwiążłość jakaś...

KRÓL Tak, tak, zuchwałość wzrasta. Rozwiążłość, ha, ha! Pamiętasz stary? *trąca go*

SZAMBELAN Ja nie chcę nic pamiętać!

KRÓL Ba, ba przecie i tobie się ukłonił! No, no, nic, nic. Rozwiążłość wzrasta, czelność... Dobrze, dobrze. Szambelanie, a gdyby, jak ona będzie przechodziła tędy... ja wyskoczę na nią. Wyskoczę i przestraszę, ha, ha! Przestraszę! Z nią można! *śmieje się* Można!! Przestraszyc i... i... naprzykład zduszę! Zabiję! Przecież jedną jużśmy zabili.

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie, fi donc!

KRÓL Mówię ci z nią można. Z nią wszystko można!

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie, to wykluczone, jeszczeby tego brakowało! Na Boga żywego — i tak już dwór trzęsie się od plotek i komeraży. Majestat Najjaśniejszego Pana wyskakujący zza kanapy... Nie, nie! Nigdy jeszcze konieczność utrzymania taktu i wszelkich najbardziej ważkich imponderabiliów *savoir vivre*'u nie była bardziej nagląca, niż w obecnych okolicznościach. Inna rzecz, że miałbym pewien pomysł *śmieje się* przyszło mi coś do głowy *śmieje się*

KRÓL Dlaczego śmiejesz się tak głupio?

SZAMBELAN Bo też ten pomysł! *śmieje się* Dziś przecie Najjaśniejsi Państwo wydają uroczysty bankiet spowodu tych opłakanych zaręczyn. Otóż gdyby tak podać jaką rybę, ościstą rybę, z ościami, naprzykład karasie, teraz właśnie jest sezon na karasie, karasie podać w śmietanie *wchodzi Walenty* Proszę wyjść!

KRÓL *ponuro* Paszoł won! — Karasie?

SZAMBELAN Karasie *śmieje się*

KRÓL Jaktó karasie?

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie, karasie na uroczystym, proszonym obiedzie — nie wiem, czy Najjaśniejszy Pan to zauważył, ona im więcej osób, tem więcej się traci — a wczoraj na nią spojrzalem,

trochę tak... zgóry, zgóry... to omal nie udławiła się kartoflem, zwykłym kartoflem. Najjaśniejszy Panie, gdyby tak podać karasie — ostro, zgóry.. *śmieje się* To trudna ryba... oścista... Można się nią udławić na uroczystem przyjęciu przy wielu ludziach obcych.

KRÓL Szambelanie.. *patrzy na niego* To trochę... głupie... Karasie?

SZAMBELAN *urazony* Ja wiem że głupie. Gdyby nie było głupie, nie mówiłbym.

KRÓL *w strachu* Szambelanie, ale... jeżeli ona rzeczywiście... jeśli ona... Ona gotowa naprawdę udławić się?...

SZAMBELAN *zwysoka* Najjaśniejszy Pan przypuszcza? Przecież to głupie. A choćby nawet się zdarzył dziwnym trafem... taki przypadek... to cóż my moglibyśmy mieć wspólnego... z taką głupotą?

KRÓL Tak, ale... my teraz mówimy o tem?

SZAMBELAN O, to jest rozmowa... taka sobie... *ogląda paznokcie*

KRÓL Taka sobie? Ha! To się zrobi! Z nią jak tak ostro, zgóry, to wszystko można zrobić — każdą głupotę, choćby nie wiem jak była głupia, taką nawet co to niktby nie śmiał posądzić. Karasie? Czemu nie karpie? Szambelanie, pytam się, czemu nie karpie?

SZAMBELAN Karasie, karasie...

KRÓL Ale dlaczego nie karpie? Albo węgorze? Dlaczego? Dlaczego? Mogą być i karasie. Hm... *w strachu* Ostro? Zgóry?

SZAMBELAN Otóż to! Najjaśniejszy Pan w całym swym majestacie. KRÓL Tak, tak, ja w całym majestacie. Musi być dużo światła, dużo ludzi i dużo strojów... Blask, świetność... Zgóry krzyknąć na nią, to ona się udławi... Napewno. Udławi się na śmierć. A nikt się nie domyśli, bo zbyt głupie — i zgóry, zgóry, nie zdoła, z majestatem, z blaskiem. Zgóry ją zabijemy. Co? Hm... Czekaajno, skryjmy się, idzie królowa.

SZAMBELAN Ależ...

KRÓL Skryjmy się, chcę zobaczyć królową *kryją się za kanapą*
Królowa wchodzi, rozgląda się — w ręku trzyma flakonik.

KRÓL *na stronie* A to co? *wychyla się*

SZAMBELAN Tsss... *królowa idzie kilka kroków w stronę pokoju*
*Iwony, zatrzymuje się — wydobywa zza gorsu mały kajecik — wy-
daje cichy jęk, twarz zasłania dłonią.*

KRÓL *na stronie* Co to za księga zgryzot?

SZAMBELAN *na stronie* Tsss...

KRÓLOWA *czyta* Jestem osamotniona *powtarza* Tak — jestem osamotniona, jestem osamotniona, samotna jestem... *czyta* Nikt nie zna tajni mego łona *mówi* Nikt nie zna mego łona. Nikt nie zna, o prawda — prawda! *czyta*

Tobie, mój kajeciku — powierniku,
Powierzam moje marzenia
I czyste moje rojenia

I wszystkie moje myśli
Niech nikt się nie domyśli!

mówi Niech nikt się nie domyśli, niech nikt się nie domyśli. Oo! *zakrywa twarz* Straszne — straszne... Zabić, zabić *podnosi flakon*
Trucizna, trucizna...

KRÓL *na stronie* Trucizna?

KRÓLOWA *z bolesnym grymasem* Niech nikt się nie domyśli *macha ręką* Czytajmy dalej. Czytajmy! Podniećmy się tą lekturą do strasznego czynu *czyta*

W i e r s z o k r ó l o w e j

Dla was, ludzie, ja siedzę na tronie
W koronie,
Nie wiecie co płonie w mem łonie.
Wy myślicie, że jestem dumna,
Wspaniała i rozumna,
A ja tylko giętka być chcę!

mówi Giętka, ooo! Ooo! Giętka. I ja to napisałam! To moje! Moje!
Z a b i ć, zabić! *czyta*

Chcę giętka być jak kalina
I młoda jak leszczyna,
I słodka jak malina,
I gibka jak pęcina,
Urocza jak poszum gaju,
Upojna jak powiew maju,
Miłości chcę! Nie chcę wielkości!
Ja tylko pragnę miłości!

Miłości, ooo! Miłości! Aaach! A! Spalić, zniszczyć! Leszczyna, malina, kalina... To straszne! I to ja napisałam! To moje, moje i żeby nie wiem co, musi być moje! O, dopiero teraz widzę, jaka potworność! Rozumiem, czemu Ignacemu przypominają się te wiersze, gdy na nią spojrzy. Jest podobieństwo — jest podobieństwo... Jest między wierszami a nią jakiś związek — jak ona tam gmerze się, ciamka się w sobie, marzy i duma! Jest jakaś łączność pomiędzy jej marzeniami a moją poezją. To ja! To ja! To moje! Jest między nami podobieństwo. O, jak to ona ze mnie wszystko powywlekała i ukazała! Każdy kto spojrzy na nią, może odkryć podobieństwo z Małgorzatą. Każdy kto spojrzy na nią, może wiedzieć, jaka naprawdę jestem, zupełnie jak gdyby przeczytał moje utwory. Dość! Musi zginać! O Małgorzato, musisz ją zgładzić! Naprzód, morderczy flakonie! Nie może istnieć na ziemi, czas wielki — bo każdy gotów od-

kryć to jadowite podobieństwo między nami. Nie mogę stać się ofiarą szyderstwa, szykan, śmieszności, agresywności ludzkiej spowodu tej donosicielki. Zgładzić! Chodźmy, chodźmy — wejdźmy pocichu do jej pokoju z tym flakonem, nalejmy parę kropel do jej lekarstwa... Nikt nie pozna! Nikt nie będzie wiedział. Ona jest chorowita, pomyślała, że umarła ot tak, poprostu... Któż zgadnie, że to ja. Jestem królową! *idzie* Nie, nie, zaraz. Nie mogę tak iść. Jestem taka sama jak zwykle — i taka sama mam truc? Muszę się zmienić. Rozzochrać chociaż... Włosy... Tak, nie za dużo, nie zanadto ostentacyjnie tyle tylko by zmienił się wygląd. O, teraz czuję się luźniej w sobie.

KRÓL *na stronie* Tsss...

KRÓLOWA Mam iść rozzochrana? O, o, o! To może cię zdradzić! Jeżeli kto cię przyłapie z temi włosami wzburzonemi... Przesztań mówić do siebie. Ona napewno także mówi do siebie. Małgorzato, przestań mówić do siebie — to może cię zdradzić *patrzy w lustro* O, jak to zwierciadło mnie przyłapało. Muszę wydobyć z rysów moich całą brzydotę, dopiero wtedy będę mogła iść. Przesztań mówić do siebie. Ktoś usłyszy. Nie mogę przestać mówić do siebie. Czy wszyscy mordercy mówią do siebie przed aktem? Co tu jest? Co tu jest... anormalnego *rozgląda się* Nieporządek dziwnie zjadliwy. Wykrzyw się, wykrzyw się, Małgorzato! O tak, tak, teraz chodźmy! Ty ze mną, ja z tobą. Jakto ty ze mną, ja z tobą — przecież tylko ja sama idę. Wykrzyw się! Chodźmy! Przypomnij sobie wszystkie swe wiersze i idź! Wspomnij wszystkie tajemne marzenia i idź! Wspomnij wszystkie męty swoje, całą nienawiść swoją, wszystkie brzydoty swoje, i idź! O, o, o, idę, idę! Ach, nie mogę iść — to zbyt szalone! Zaraz, chwileczkę — jeszcze pomażmy się, jeszcze to... *maże się atramentem* tak, teraz z temi plamami łatwiej... Teraz jestem inna. Stój, to może cię zdradzić. Chodźmy! Zabić donosicielkę! Nie mogę! Poczytajmy jeszcze! Muszę poczytać jeszcze *wyjmuje wiersze* Poczytajmy, to nas pobudzi i wzmoże żądze mordy —

KRÓL *wyskakuje* Ha, Małgorzato!

KRÓLOWA Ignacy!

KRÓL Mam cię! Pokaż! *chce wyrwać jej wiersze*

KRÓLOWA Puść mnie!

KRÓL Pokaż! Pokaż! A, morderczyni! Pokaż! Zachciało mi się twoich grzechów! Pokaż, a rozpoczniemy znowu miesiąc miodowy!

Pokaż, ty truciicielko!

KRÓLOWA Ach! *mdleje*

SZAMBELAN Wody! Zemdląła!

KRÓL Ha, jak to jest! O giętkości marzy i dlatego chce otruć Cimcyrymci. Ale to wszystko jedno. Ja i tak ją zabiłem.

KRÓLOWA *omdlewając* Zabiłeś? Kogo zabi...

KRÓL Ja utopiłem ją! Z szambelanem. Z szambelanem utopiliśmy ją—

SZAMBELAN Wody! Jest woda!

KRÓLOWA Utopiłeś? Iwonę uto...

KRÓL Głupia. Nie Iwonę, ale to wszystko jedno. Nie Iwonę, inną tam. Dawno już. Teraz już wiesz, co jest we mnie. Wiesz teraz? Przy moich grzechach twoje głupie, wstydlive wiersze niczem są. Zabiłem ją, a teraz zabiję Cimcirimci. Cimcirimci także zabiję!

KRÓLOWA Zabijesz Cimci...?

KRÓL Tak, teraz Cimcirymci. Jeżeli się uda, to ją także. Teraz ją znowu i tak ciągle... Zawsze ktoś kogoś gdzieś kiedyś... Zawsze tak... Nie tego, to innego, a jak nie tamtą, to znowu jakąś i tak ciągle — ostro, zgóry — z tupetem, z pewnością siebie. Onieśmielić, a potem tego... *do szambelana* Daj wody *pije* Jestem stary... starzeję się...

KRÓLOWA Ja nie pozwalam, Ignacy, ja nie pozwalam.

KRÓL Pozwolisz, pozwolisz, stara... pozwolisz, bo sobie też pozwalasz. Każdy sobie troszeczkę pozwala i dlatego musi pozwalać...

Wchodzi Iwona, widząc ich, chce się cofnąć, ale nie może — przechodzi do swego pokoju. Odtąd mówi się półgłosem.

KRÓL Ha!

KRÓLOWA Ignacy, ja się nie zgadzam, ja nie chcę, nie pozwalam, Ignacy!

SZAMBELAN Ciszej na Boga!

KRÓL Milcz, głupia. Zrobi się... Myślisz, że ja będę tak zdołu jak ty... Nie, nie, ja zgóry, zgóry ją zamorduję — zgóry, z szykiem, z majestatem — a tak głupio, że nikt się nie domyśli. Ha, ha, Małgorzato, mordować trzeba zgóry, nie zdołu. Umyj się naprzód, wyglądasz jak warjatka. A powtóre zajmij się trochę bankietem, który dziś wydajemy — już czas... Uważasz, każ na przekąskę podać karaski. Karasia zjadłbym, karasia zjadłbym w śmietanie. To dobra ryba. Wykwintna.

KRÓLOWA Karasie? Karasie? *do szambelana radośnie* Oszalał! Chwała Bogu, oszalał!

KRÓL Milcz, nie oszalałem. Karaski podaj —

SZAMBELAN Najjaśniejsza Pani, karaski w śmietanie doskonale nadają się na przekąskę. Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie możnaby podać karasków.

KRÓLOWA Nie podam karasków! Nie podam karasków! Ignacy, nie doprowadzaj mię do obłędu, nie podam żadnych karasków. Skąd znowu jakieś karaski? — Mówię wam, nie podam karasków, dlatego karaski, dlatego w tej chwili akurat jakieś karaski? Nie podam karasków!

KRÓL A cóż to za fochy? *do szambelana* Daj mi koronę. A to co? *szambelan podaje koronę*

KRÓLOWA *przerazona* Ignacy, poco to?! Zdejm ją — Ignacy, poco?! Ignacy!!

KRÓL Małgorzato, jeśli ci mówię, żebyś podała karasie, to każ nam

podać karasie. Nie kłóć się, bo jak cię palnę... a mogę cię palnąć jeśli zechcę, mogę cię palnąć, bo grzechy mam — wszystko mogę, kobieto, mówię, drzyj przede mną, bo grzechy mam! Ja jestem królem grzechów, uważasz, królem głupoty, grzechów, gwałtów, jęków!
KRÓLOWA *przerażona* Ignacy!

KRÓL *spokojnie* No, no, no... Każ podać karasie. I zaprosz najznakomitszych dostojników, tych, wytrawnych, starych onieśmielaczy, tych praktyków, co to umieją sparaliżować jak sto tysięcy djabłów *ciszej* Małgorzato, dość już tej nieśmiałości, lęków, wstydów — rozumiesz mnie? Dostyc tych tam poezji, giętkości, malin, kalin... Nie jesteś już pierwiosnkiem, jesteś damą, królową, no, no! Nie ty masz się bać, ale ciebie żeby się bali — no, no. Umyj się, kocmołuchu, wyglądasz, jak nieboskie stworzenie. Włóż swoją adamaszkową suknię — pokaż, stara, co umiesz! Nuże! Zbierz do kupy swoje elegancje, gracje, dystynkcje, takty, maniery, od tego przecież cię trzymam, a swoim łotrzycom też nakaz, żeby mi się wystroiły w co która może. No, no, idź — rozumiesz chyba? I żeby mi było świetnie! Przyjście ma być świetne, z damami, nie z kocmołuchami. Sprowadź gości i każ zastawić stoły, o resztę niech cię głowa nie boli, resztę sam zrobię! Zgóry, zgóry — z majestatem! Idź, idź — kucharko!
Królowa, która podczas ostatnich słów zastaniała twarz rękami, wychodzi.

KRÓL Szambelanie... *trąca go łokciem*

SZAMBELAN Najjaśniejszy Panie!

KRÓL *ciszej, ponuro* Ukłoń mi się... Potrzebuję, żebyś mi się ukłonił...

SZAMBELAN *ostrzegawczo* Idzie ktoś.

KRÓL *ciężko* A to się skrzyjmy, *kryją się za kanapą*

Wchodzą, skradając się: książe z nożem w rękę, za nim Cyryl z koszem.

KSIAŻĘ Dokąd poszła?

CYRYŁ *zaglądając przez drzwi w głębi* Tsss... Tutaj.

KSIAŻĘ Co robi?

CYRYŁ Muchy łapie.

KSIAŻĘ Łapie?

CYRYŁ Ziewa.

KSIAŻĘ *ściskają nóż* No, to spróbujemy... Raz, dwa, trzy... Pilnuj czy nikt nie idzie, kosz przygotuj... *Cyryl otwiera kosz, książe skrada się do drzwi*

KRÓL *na stronie do Szambelana* O, to i Fipek także!...

SZAMBELAN Tsss...

CYRYŁ *który zboku patrzy na księcia* Książę, nie — niech książę przestanie — książę, bo gwałtu narobię!

KSIAŻĘ Nerwy?

CYRYŁ To niemożliwe, książę, niemożliwe... Książę z nożem skradający się do tej cherlaczki *wybucha cichym śmiechem* To się nie da—

nie, to się nie da! — Mordować, mordować taką?! — I ten kosz!
Ten kosz!

KSIAŻĘ Przestań! *kładzie nóż* Kosz jest technicznie konieczny.

CYRYL Książę sobie nie zdaje sprawy — książę siebie nie widzi —

KSIAŻĘ Przestań nakonec!

CYRYL *zagładając* Zasypia. Zasnęła chyba —

KSIAŻĘ Zasnęła?

CYRYL Tsss. Tak jakby... Kiwa się... Na fotelu...

KSIAŻĘ *zagładając* Teraz, albo nigdy! Jeżeli teraz, to bez bólu... Ty spróbuj!

CYRYL Ja?

KSIAŻĘ Tobie to łatwiej — jesteś obcy, jesteś z nią na równej stopie, nie jesteś jej objektem, nie kocha cię. Cyrylu, zrób to dla mnie. Jedna chwila... To operacja, zabieg — nie poczuje... Nie będzie wiedziała, pamiętaj, że w tej samej chwili, w której ty to zrobisz, jej już nie będzie, to się dokona poza nią — to łatwo — to jest czynność nasza, jednostronna, jej nie dotyczy wcale...

CYRYL Im łatwiej, tem właśnie trudniej *bierze nóż*

KSIAŻĘ Nie, nie, nie!

CYRYL Nie?

KSIAŻĘ Zupełnie jakbyś miał kurę zarzynać.

CYRYL Nie można? Zdawałoby się — można, a nie można. Co do licha? Ona jest na to zbyt słabowita — chorowita. — Ba, gdyby była tęga, rumiana baba, ale blada... Bladej nie można...

KSIAŻĘ Tu ktoś patrzy.

CYRYL To ja patrzę.

KSIAŻĘ Nie, tu ktoś widzi — ktoś widzi wszystko.

CYRYL To ja widzę.

KSIAŻĘ Tak, ty patrzysz na mnie, ja na ciebie. Odejdź, już wolę sam. Sam to załatwię. Zabieg, okropny wprowadzie, ale zabieg. — Wolę być okropny przez jedno mgnienie oka, niż okropny przez całe życie. Stań za drzwiami, ja to sam *Cyryl wychodzi* Sam. Dla niej to wybawienie... Kres cierpień — dla mnie także... To racjonalny zabieg, racjonalny... Hm... *rozgląda się, bierze nóż, kładzie z powrotem* Cyrylu!

KRÓL *na stronie bardzo podniecony* Uch, niedojda!

CYRYL Co tam? *wraca*

KSIAŻĘ Samemu jeszcze gorzej. Człowiek jak jest sam, to się rozdyma, rozrasta się... do rozmiarów... *słucha* Co to?

CYRYL Oddycha *słuchają*.

KSIAŻĘ Oddycha... *zagłada* Ba! Jak oddycha — jak żyje sobie tam w sobie — w sobie po uszy... zanurzona, zawarta w sobie... Nie będzie z tego nic... *bierze nóż* Cóż, wsadzić w ciało... Ale jest straszna trudność... Jest straszna łatwość, a w tej łatwości jest właśnie straszna trudność *wchodzi Iza*

IZA *widząc nóż* Co to? *zagląda przez drzwi* Morderstwo!

KSIAŻĘ I CYRYL Tsss...

IZA Morderstwo... Mordercą chcesz być?

KSIAŻĘ Milcz! Nie wtrącaj się! Ja tu załatwiam swoje prywatne sprawy. Jak to załatwię przyjdę. Idź stąd!

IZA I pan tutaj? Pan mu w tym dopomaga?

CYRYL Głupstwo! Książę, chodźmy, to głupstwo! Rzućmy to!

KRÓL *na stronie* Głupstwo! Dalej go!

IZA Chodźcie stąd!

KSIAŻĘ *zagląda* Śpi.

IZA No więc niech sobie śpi. Co cię obchodzi, że ona śpi. Filipie, przecież już ją porzuciłeś. Chodź, pójdziemy na spacer, porozmawiamy, właśnie chciałem pomówić z tobą — chodźmy stąd!

KSIAŻĘ Cicho. Westchnęła!

IZA No więc niech sobie wzdycha. Przestań się nią zajmować. Ja tu jestem! Przestań się nią zajmować, przestań ją mordować... Chodźmy.

KSIAŻĘ Coś jej się śni. Sny jakieś?

IZA No to niech śni. Opowiem ci, co mi się śniło w nocy. Śniłam o tobie. Chodźmy.

KSIAŻĘ Napewno o nas! O nas śni! O mnie, o tobie. My tam jesteśmy w środku.

IZA Gdzie? W jakim środku?

KSIAŻĘ W środku niej. Nie słyszysz, jak ona boleśnie śpi? Jak okrutnie oddycha? Jak ciężko pracuje w sobie, jak tam w niej my oboje zapadamy się i jak ona robi z nami, co się jej żywnie podoba — ciekawe co ona tam wyrabia z nami, jak ona sobie tam używa na nas, na naszych wszelkich miłościach, czułościach, cudach...

IZA Znów jesteś anormalny? Nie możesz przestać być anormalny.

KSIAŻĘ *ciągle szeptem* Jestem normalny, ale nie mogę być normalny, jeśli ktoś inny jest anormalny. Dobrze, będę normalny, i ty także będziesz normalna, cóż z tego, jeżeli ktoś inny, anormalny, będzie przygrywał z boku naszej normalności na takiej małej fujarce, tra, la, la — a my tańczymy — my tańczymy.

IZA Filipie, potem co było między nami dzisiejszej nocy?

KSIAŻĘ *nasłuchując* Chrapie.

IZA Co?

KSIAŻĘ Chrapie.

IZA Nie, to już przekracza wszelkie granice.

KRÓL *na stronie* Przekracza! Dalej go! Niech przekracza. Uch, uch! Przekraczaj!

KSIAŻĘ *mimowiednie odpowiadając mu* Nie mogę przekroczyć. Co to jest. Kto to powiedział? Co tutaj jest w tym pokoju? Patrzcie jak jakoś głupio — te sprząty *kopie fotel*

KRÓL Głupio! Uch, uch!

SZAMBELAN Tsss!

CYRYL Książę, zabijmy ją, albo chodźmy, bo ja już dłużej nie mogę tu stać tak z tym koszem, ja sobie pójdę, wogóle ucieknę. Ucieknę z zamku. Ja nie mogę dłużej być tak na przyprzążkę tutaj — nie mogę.

KSIAŻĘ Muszę przekroczyć! Muszę!

KRÓL Dalej go!

IZA *do Cyryla* Z nim jest niedobrze, on się stracił, stracił zmysły.

Pocałuj mnie *do Cyryla* Niech mnie pocałuje. Pocałuj mnie!

KSIAŻĘ *nastuchując* Młasnęła!

IZA Dosyć. Odchodzę.

CYRYL Nie odchodź pani, nie odchodź, bo gotów zupełnie oszaleć.

Niech książę pocałuje. Do diabła, zróbże pani coś, żeby on panią pocałował. Niech pocałuje panią!

KRÓL Niech pocałuje! Uch, uch! Dalej!

SZAMBELAN Tsss!

IZA Nie będę zebrała o pocałunki. Nie będę stała godzinami razem z tym koszem i z tym nożem pod drzwiami tej nędznicy. Dosyć. Odchodzę na zawsze. Za dużo tego.

KSIAŻĘ Nie zostawiaj mnie! Izo, pocałuję cię — nie odchodź. Czeka!

IZA *odtrącając go* Nie chcę! Proszę mnie puścić! Nie chcę tutaj, na zamówienie, pod drzwiami, bez sensu, z tym koszem, z tym nożem. Skąd znowu jakies pocałunki? Zostawcie mnie.

KRÓL Dalej! Jazda! Dalej go!

KSIAŻĘ Zimnej krwi. Przedewszystkiem zimnej krwi, bo wszyscy dostaniemy kręcka. Ciszej, bo się obudzi... Izo, czekaj, nie tak gwałtownie. Nie mogę cię stracić. Nie zrażaj się tą anormalnością. Owszem, zgadzam się, ten pocałunek w tych okolicznościach wygląda śmiesznie i sztucznie, ale pocałujmy się pomimo wszystko, pocałujmy się jakby to było naturalne... Na Boga, udawajmy normalnych, skoro nie możemy być normalni, bo inaczej nie wydobydziemy się stąd. Nie widzę innego wyjścia, tylko pocałunek, to nas jakoś wróci do normy, to nam pozwoli uratować się z tego miejsca *obejmuje ją* Kocham cię. Powiedz, że mnie kochasz. Kochasz mnie!

IZA Nie powiem! Za nic nie powiem! Puścić...

KSIAŻĘ Kocha mnie! Ja ją kocham!

Iwona staje w drzwiach, przecierając oczy; król w wielkim podnieceniu wychyla się zza kanapy, przytrzymywany przez szambelana.

KRÓL Dalej go!

IZA Filipie!

KSIAŻĘ *zawzięcie, gorąco* Filipie! Filipie!... Kocham!

CYRYL Księżę, zbudziła się!

KRÓL *głośno* Dobrze, dobrze, Filip! Dobrze jej tak! Huzia! Dalej go! Na pohybel! Huzia na nią! Huzia na Cimcirymci!

SZABELAN Trzymajcie Najjaśniejszego Pana.

IZA Uciekajmy!

KRÓL Nie wrzeszcz! Wyciągnijcie mnie stąd *gramoli się* Ścierpłem.

Stare kości mi ścierpły *do księcia* Hajda! Hajda! Huzia ją! Niezdary! Teraz ją zabijemy! Huzia na nią, powiadam! Dalej go, Filip — Szambelanie ja tędy! Na Cimcirymci! *wchodzi królowa w stroju balowym, lokaje wnoszą stoły zastawione do uczyty, goście — światło* Stójcie! Tak nic się nie zrobi. Zapomnieliśmy o karaskach! Zgóry ją! Zgóry, nie zdołu! Zgóry, z majestatem! Zapeścić, a potem tego... Huzia! Dalej go, Małgorzato! Huzia! *do gości* Proszę!... Proszę!... Państwo pozwolą! Filipie, popraw kołnierzyk i przyglądź włosy, zgóry, zgóry, mój synu! Huzia! *do szambelana* Daj mi koronę.

KSIAŻĘ Co się tu dzieje?

SZAMBELAN Nic, nic, to tylko z pozoru jest głupie. Zabijemy ją.

Niech księżę przynajmniej udaje normalnego!

KRÓL *do gości* Witamy jak najuprzejmiej. Proszę, niech państwo pozwolą.

GOŚCIE Aaa! *kłaniają się* Najjaśniejszy Panie!

KRÓLOWA Prosimy. Prosimy jak najuprzejmiej!

GOŚCIE Najjaśniejsza Pani! *kłaniają się*

KRÓL *do gości* Dalej go! Huzia! Bierz go! Zgóry, panowie, zgóry, szambelanie, wyznacz każdemu miejsce stosownie do godności i niech wyższość gryzie niższość, a niższość niech gryzie wyższość, to jest raczej niech wyższość czerpie z niższości słuszną dumę, a zaś niższość z wyższości podniechęć i zachętę do tem owoonieszych wysiłków w szlachetnej emulacji. A moją przyszłą synową posadź naprzeciw nas, na jej to bowiem cześć wydajemy niniejsze gardenparty.

GOŚCIE Aaa! *kłaniają się*

KRÓLOWA Lecz bez względu na miejsce w hierarchji miejsc, niech każdy zakwitnie pełnokwieciem swojej istoty pod słońcem naszej łaski. Niech damy pokażą co umieją, a panowie niech też pokażą dąbkiem! Z blaskiem, panowie, z szykiem, z elegancją, z polorem i wykwintem!

KRÓL Tak, tak — huzia... to jest te... dalej go! Siadajmy!

GOŚCIE Aaa! *kłaniają się, król i królowa siadają*

SZAMBELAN *do Iwony* Niech pani raczy zasiąść *Iwona nie rusza się, lodowato* Niech pani raczy zasiąść... *sadza Iwonę* a tutaj księżę... księżę proszę... A tutaj ekscelencja, tu emincencja, a tu hrabina duarjera, a tu nasz znakomity... nieoszacowany... nasz wyrafinowa-

ny prowadzi jakiegoś staruszka, rozplywając się Ajajaj! wszyscy siadają

KRÓL Jak zaznaczyłem, jest to skromna i przyzwoita wieczerza na pohybel, to jak raczej na cześć naszej przyszłej synowej, którą w dniu dzisiejszym postanowiliśmy obdarzyć tytułem księżniczki Burgunda in partibus infidelium. Ona więc jest bohaterką dzisiejszej uczy. Spójrzcie, jak się przyjemnie uśmiecha!

GOŚCIE Aaa *dyskretny oklask*

KRÓL *nabierając* Łajdaczka trochę oścista, ale smaczna... Ryba, chciałem powiedzieć, jak to leży... hm... *nakłada na talerz*

KRÓLOWA *nabierając* Trochę stara, ale w tym sosie dystygowana, a dystynkcja przyznam się, znacznie bardziej mi odpowiada, niż to co powszechnie określają wstydliwem mianem poezji. Może nie jestem sentymentalna, ale *zwysoka* nie znoszę wszystkiego co choćby zdaleka załatuje mi maliną lub kaliną. Wolę starsze panie, damy w całym znaczeniu tego słowa.

GOŚCIE Aaa!

SZAMBELAN *nabierając* Jest to ryba z pozoru skromna, ale w gruncie, w samej istocie swojej niesłychanie, wprost nieprawdopodobnie arystokratyczna, dość powiedzieć, że niema kości, ale ości! Cóż to za sos znakomity! Niby śmietana, a jednak coś lepszego, coś wyższego od śmietany! Jakiż to smak — ostry, pikantny, błyskotliwy, paradoksalny! Nie wątpię, iż wszyscy ocenią go należycie, gdyż nigdy jeszcze nie oglądałem tak wykwitnego zgromadzenia!

GOŚCIE Aaa!

KRÓL *do Iwony* Cóż to — nie smakuje nam? *groźnie* Nie smakuje?

SZAMBELAN *zimno* Pani cierpi na brak apetytu?

GOŚCIE *zgorszeni* O!

IWONA *zaczyna jeść*

KRÓL *ponuro do Iwony* Tylko trzeba uważać, gdy się je, bo można się udławić! Nieszczęścia chodzą po ludziach. Taki karaś to niby nic, a w gruncie rzeczy...

SZAMBELAN *do Iwony* Najjaśniejszy Pan raczył zaznaczyć, że trzeba uważać gdy się je, bo można się udławić *ostro* To niebezpieczne! To trudna ryba!

KRÓL *groźnie* Niebezpieczne, powiadam!

GOŚCIE *zdumieni* Ach! *przestają jeść, cisza*

KRÓLOWA *konwencjonalnie* Eh bien, Ivonne, vous ne mangez pas, ma chère?

SZAMBELAN *nakładając monokl* Gardzi pani? Pogardza pani karasiami Najjaśniejszego Pana?

KRÓL *groźnie* Co takiego?!

IWONA *zaczyna jeść solo*

KRÓL *wstaje, groźnie wskazując na Iwonę* Udławiła się! Udławiła się! Ością! Ość jej w gardle!! Ość mówię! No!!!

IWONA *dławi się*

GOŚCIE *przeżarci, zrywają się* Ratujcie! Wody! W plecy!

KRÓLOWA *przeżrana* Ratujcie! Ratujcie!

GOŚCIE Ach, nieszczęsna! Co za wypadek! Katastrofa! Trup! Umarła! Nie przeszkadzajmy! *wynoszą się, pozostawiając na widoku ciało.*

KSIAŻE Umarła?

SZAMBELAN Ością się udławiła.

KSIAŻE Ach, ością. Rzeczywiście, zdaje się, że umarła.

Milczenie.

KRÓLOWA *nerwowo, jakby trochę zawstydzona* Ignacy, trzeba będzie pomyśleć o żałobie. Nie masz czarnego garnituru. Przytyłeś, tamte są za ciasne.

KRÓL Nie mam? Jak każe, będę miał. Król jestem!

KRÓLOWA Tak, ale trzeba posłać po krawca.

KRÓL *zdumiony* Po krawca? A racja... *przeciera oczy* Racja, krawiec Salomon, konfekcja męska... *patrzy na Iwonę* Co? Umarła? Na serjo?

KRÓLOWA *po chwili* Wszyscy pomrzemy!

SZAMBELAN *po chwili* To los nasz na tym świecie! Wyprzystojniała nieboszczka. Rysy jednakże prawidłowe.

KRÓL *po chwili* Zróbcie coś. Trzeba coś zrobić z tem. Trzeba powiedzieć coś. Trzeba jakoś załatwić to milczenie! Filipie... tego... bądź silny. Trudno — umarła.

KRÓLOWA *gładzi go po głowie* Matka przy tobie jest, synu.

KSIAŻE Co wy mówicie?

SZAMBELAN *do służby* Chodźcie no, trzeba wynieść i ułożyć tymczasem na łóżku. Niech tam który skoczy i przygotowuje. Pietraszka trzeba natychmiast wezwać. Niech tam który skoczy zaraz do zakładu pogrzebowego Pietraszka, bez Pietraszka nie damy rady. Natychmiast wezwać Pietraszka, to najważniejsze *lokaje zbliżają się do ciała* Zaraz, ja klęknę klęka

KRÓL A, racja... *klęka* Ma rację. Trzeba uklęknąć *wszyscy klękają prócz księcia* To właśnie trzeba było zrobić odrazu.

KSIAŻE Przepraszam. Jakto? Co wy... Przecież przed chwilą... Przecież to my... ja... Przecież to myśmy ja... My sami...

SZAMBELAN Co? *książę milknie* Proszę uklęknąć. Nie wypada zakłócać spokoju zmarłej.

KRÓLOWA Klęknij, Filipie. Trzeba uklęknąć, synu. Tak trzeba.

KRÓL Prędeż! Nie możesz sam jeden stać, kiedy wszyscy klęczymy. Prędeż, bo nogi mnie bolą! *książę klęka, lokaje dźwigają ciało, dźwięk trąb*

W i t o l d G o m b r o w i c z

TRZY FRAGMENTY Z POEMATU „KRAJOBRAZY”

Poeta stroi się w jedwab i włosy spina trefione
wygasła gwiazdą niebieską;
u wrót otwartych na wschód już niecierpliwią się konie
w szybką wprężone doczesność.

Porzucił bezsenną noc i mękę. Przeto porzucił
śpiew idący z tej męki.
Noc się z łoskotem zamknęła, męka ustała, śpiew ucichł,
i konie rwą już zaprzęgi.

Prorocy jak tromboniści zadęli w rogowy gniew,
kamienni na kłębach chmur:
„Niechaj zbawiony będzie przed chwilą umarły śpiew
o skrzydłach z brzęczących piór”.

Strojny w kryzę i żabot, łamie poeta klucz
od nocy, którą porzucił,
i jedzie lotnym powozem w ogrody rozkwitłych uczt,
w pachnące aleje uciech,

w których wachlarze stulistne w łodygach dłoni wyrosłe
obwiły bluszczem aksamit,
w których kobiety zalotne, skłonne do usług miłosnych,
łowią go powiekami.

Oto się toczy kolasa. Ptactwo złociste i zdobne
uwiło gniazda w jej herbach
podczas ukłonów wymyślnych, dwornych pożegnań i spotkań
na skrzyżowaniach promenad.

— Jakaż będzie ta droga, jakie obrazy przy drodze,
w którą poeta rusza?
Takie obrazy przy drodze i taka droga. Na wschodzie
i wiatr i piasek i susza.

*

Wioślarz odepchnął łódź, a fala, która nadeszła,
zmoczyła go i wywiodła uda ukryty kształt —
Gdy wiatr uderzył gorący, przydał ubraniu fałd.
Wiatr ten uderzył o świcie i brzeg rozgrzewał do zmierzchu,
aż morze zaczęło się burzyć i zamieniło we wrzątek,
parząc złoża koralu. Taki był rzeczy początek.

I zwyciężywszy lenistwo właściwe morzom północnym
o fali na brzeg wyciągniętej, jak martwy, zastygły język,
wrzącą niebieską rtęcią naprzód ruszyło z uwięzi,
jak żółw popełzło przez lądy pod czarną osłoną nocną —
na opuszczonem dnie zostały rozbite okręty
o roztrzaskanych kadłubach i masztach krótko odciętych.

Okręty o całych masztach płynęły wraz z morzem płynącym,
znajdując czasami przystań na szczycie skalistej góry,
lub zawijały do dolin, do łąk przybijały, na których
owady tarły łapkami małe skrzydełka błyszczące —
a porzuciwszy góry i wypłynawszy z dolin,
wjeżdżały czasem okręty na pełnem morzu do stolic,
do stolic rozległych państw. W każdej stolicy i w mieście
każdem milkli poeci w oczekiwaniu fali.

Harfy uważnie stroili, struny baranie zwalniali
i napinali miedziane, by dźwięcznie miastom obwieścić
czas gdy fala nadejdzie. Nocą błyskały struny,
jak nieme błyskawice poprzedzające pioruny.

A kiedy morze nadeszło, nad granatową głębiną
okręty zawadzały o szczyty ratuszów i wież —
Później stolice jak wyspy, o których słuch już zaginał,
parte potężnie od wewnątrz, parte dogóry i wszere,
znów się zaczęły wynurzać. Morze spłynęło dalej.
Poeci ujęli harfy i dzieje wyśpiewali.

Jak wiosłarz odepchnął łódź, jak fala która nadeszła
zmożyła go i wywiodła uda ukryty kształt,
jak wiatr uderzył gorący, jak przydał ubraniu fałd,
jak wiatr uderzył o świcie i brzeg rozgrzewał do zmięchu.
Lecz strojny w kryzę i żałobę poeta nie śpiewał odmętu
w ogrodach rozkwitłych uczt. Tę pierwszą pieśń miał odjętą.

*

Naoslep i nazbyt ufnie pędzisz w idący czas,
myli cię łatwość drogi, która twe kroki wspomaga,
lecz wiem, że czas cię osądzi
i stąd jest moja przewaga,
choć pięść masz wrogą i gniewną a w oku wyniosły blask.

Oto odeszło od ciebie rzemiosło twoje i moc,
i jeśli znaku nie pojdziesz, przestrogi nie spamiętasz,
niebo w ognistych krzyżach,
groźny, wróżebny cmentarz
nad korą spękanych gór przepowie twój dalszy los.

Wtedy krajobraz się zmieni. Jak na wołanie fletu
szczury ślepnących wspomnień wypełzną z piwnic i strychów.
Padniesz trafiony strachem
i potajemnie, pocichu
drażyć cię będą przez serce aż do srebrnego szkieletu.

Więc wyznasz z męką i wstydem: nienawiść o szponach orlich
posiadła mnie w owe dni. I wstyd ten imię ci zbawi,
bo jeśli skruszony nie padniesz,
spójrzy na twoją nienawiść
spod łuku kamiennych brwi chłodne oblicze historii.

Z u z a n n a G i n c z a n k a

„FERDYDURKE”

Oddawna odwykliśmy w naszej literaturze od zjawisk tak wstrząsających, od wyładowań ideowych tej miary, co powieść Witolda Gombrowicza „Ferdydurke”. Mamy tu do czynienia z niezwykle manifestacją talentu pisarskiego, z nową i rewolucyjną formą i metodą powieści i wkońcu z fundamentalnym odkryciem, z aneksją nowej dziedziny zjawisk duchowych, dziedziny bezpańskiej i niczyjej, na której dotychczas hulał tylko nieodpowiedzialny żart, kalambur i nonsens.

Spróbujmy wytyczyć obręb, wskazać miejsce tej dziedziny, w której dokonała się rewelacja Gombrowicza. Rzecz osobliwa, dziedzina ta, której rozmiary ukazało nam dopiero to niezwykle odkrycie, nie miała dotychczas nazwy, nie miała przyznanej sobie egzystencji, nie oznaczona nawet plamą białą na mapie świata duchowego.

Człowiek widział się i chciał się widzieć dotychczas jedynie od strony oficjalnej. Temu co się w nim działo poza obrębem treści oficjalnej nie przyznawał egzystencji, nie dopuszczał przed forum myśli, nie przyjmował do wiadomości. Wiodło ono życie sieroce niejako poza bytem, poza realnością, żalosne życie treści nie akceptowanych i nigdzie nie notowanych. Anatemą głupstwa, błahości i nonsensu zagradzała dostęp do niego, zbyt wielka bliskość raziła ślepotą. Świadomość wymaga pewnego dystansu i sankcyj rozumu, zbyt bliskie i pozbawione tej sankcji uchyla się przed jej zasięgiem.

Podczas gdy cień człowieka na scenie jego świadomości prowadził swą akcję oficjalną, dojrzałą, aprobowaną — jego właściwą realność porała się beznadziejnie z głupstwem i brednią, objęła się bezradnie o chimery i bzdury w sferze bez nazwy i lokalności. Cień uzurpował sobie wszystkie prerogatywy egzystencji, gdy tymczasem bezdomna realność człowieka wiodła pokątny i ukryty żywot nieuznawanego sublokatora. Gombrowicz pokazał, że dojrzałe i klarowne formy naszej egzystencji duchowej są raczej „pium desiderium”, żyją w nas raczej jako wiecznie wytężona intencja, aniżeli jako realność. Jako realność żyjemy stale poniżej tej wyżyny, w dziedzinie zgoła niehonorowej i niezaszczytnej i tak dalece bylejakiej, że wahamy się czy przyznać jej choćby jakiś pozór egzystencji. Doniosłym czynem Gombrowicza było właśnie to, że nie wahał się uznać tej dziedziny za

właściwą i arcyłudzką domenę rzeczywistego człowieka, że adoptował wydziedziczoną i bezdomną dla świadomości, że zidentyfikował ją i dał jej nazwę, pierwszy stopień do wspaniałej kariery, którą jej toruje w literaturze ten manager niedojrzałości *)).

Jak dojrzała egzystencja człowieka ma swój odpowiednik w formach i treściach wyższej kultury, tak i ta podziemna i nieoficjalna egzystencja ma swój świat odpowiedników, w którym się porusza i działa. Z punktu widzenia kultury są to pewne uboczne i odpadkowe produkty procesów kulturalnych, strefa treści podkulturalnych, niedokształconych i rudymenarnych, ogromne rumowisko kultury zaśmiecające jej peryferje. Ten świat kanałów i odpływów, ta ogromna kloaka kultury jest jednak substancją macierzystą, mierzwą i miazgą życiodajną, na której rośnie wszelka wartość i wszelka kultura. Tu jest rezerwuuar potężnych napięć emocjonalnych, które te treści podkulturalne zdołały związać i skupić. Nasza niedojrzałość (a może w gruncie rzeczy nasza żywotność) związana jest tysiącznymi węzłami, spleciona tysiącznymi atawizmami z tym drugorzędnym garniturem form, z tą kulturą drugiej klasy, tkwi w niej uporczywie mocą zadawnionego przymierza i wspólności. Podczas gdy pod powłoką dorosłych, oficjalnych form oddajemy cześć wyższemu, wysublimowa-

*) Analogja do freudyizmu nasuwa się sama przez się, ale gdy Freud odkrywszy dziedzinę podświadomości, uczynił z niej curiosum psychologiczne, wyspę izolowaną, której niezrozumiałe manifestacje i odrębną, paradoksalną logikę ukazał wyraźnie odgraniczone, niejako za kratami patologji, odseparowane od tła normalnych przebiegów, Gombrowicz skierował swój wzniernik właśnie na te rzekomo normalne i dojrzałe procesy i wykazał, że ich legalność i prawidłowość jest złudzeniem optycznym naszej świadomości, która sama będąc produktem pewnej tresury akceptuje tylko treści sobie adekwatne, nie notyfikuje zaś żywiołu niedojrzałości, otaczającego swym zalewem nikłą lagunę oficjalnych treści. Dziedzina, o którą chodzi, nie podpada pod żadną kategorię oficjalnego poznania, nie rozporządzamy żadnym organem do jej ujęcia. Tu dokonał Gombrowicz genialnego tricku. Użył aparatu psychicznego, który normalnie służy jako kłapa bezpieczeństwa, izolator chroniący wątłą budowę oficjalności od naporu podziemnego chaosu: komizmu, konwulsji śmiechu, strząsającej uzurpacje i zakusy tego zbełtanego żywiołu — i na nim jako najbliższym komunikującym z tą problematyczną dziedziną zaszczepił nowy organ widzenia i notyfikowania tych spraw. Groteska Gombrowicza nie jest niczem innym jak organem oporu i wstrętu, adaptowanym dla celów poznawczych. Freud pokazał mały wycinek tego podziemnego świata dostępny metodom psychologa, któremi zneutralizował destrukcyjne działanie śmieszności i nonsensu. Pozostaje on w gruncie rzeczy na płaszczyźnie powagi naukowej. Ale generalny atak na tę dziedzinę mógł udać się tylko przez całkowite zwinięcie i opuszczenie pozycji powagi, przez otworzenie frontu dla żywiołu śmiechu, dla bezgranicznej inwazji komizmu. Okazuje się, że w samej powadze naukowej, w samej dostojnej pozycji badacza leżał najpoważniejszy szkopuł nie pozwalający na gruntowną dekonspirację mechanizmu myślenia. Oficjalność i obłuda wypłoszone z pozycji zdemaskowanej chroniły się w powagę postawy badawczej. Była to gra w ciuciubabkę, którą zlikwidował Gombrowicz, przełamując z niesłychaną śmiałością bariery powagi. Udało mu się przerobić narzędzie destrukcji na organ konstruktywny. Dzięki niemu puścił promień humanizującego humoru w dziedzinę nie poddającą się dotychczas żadnemu opracowaniu przez władze ducha ludzkiego.

nym wartościom, nasze istotne życie odbywa się pokątnie i bez wyższych sankcyj w tej brudnej rodzimej sferze, a ulokowane w niej energie emocjonalne są stokroć potężniejsze, niż te którymi rozporządza chuda warstewka oficjalności. Gombrowicz pokazał, że tu właśnie, w tej wzgardzonej i niezaszczytnej sferze pleni się bujne i obfite życie, że życie obywatela znakomicie bez wyższych sankcyj, że pod stokratnym ciśnieniem abominacji i wstydu rozkrzewia się ono lepiej niż na wyżynach wysublimowania.

Gombrowicz zniósł wyjątkową i izolowaną pozycję treści w świecie psychicznym, zburzył mit o ich boskim pochodzeniu i pokazał ich zoologiczną genealogję, ich genealogję z niższej sfery, od której się dumnie odgradzały. Gombrowicz wykazał jednorodność sfery kultury i podkultury, co więcej, można przyjąć, że w sferze podkultury, sferze treści niedojrzałych, widzi on model i prototyp wartości wogóle, a w mechanizmie ich funkcjonowania, który genialnie odsłonił, dostrzega klucz do zrozumienia mechanizmu kultury. Dotychczas człowiek widział się sam przez pryzmat formy gotowej i wykończony, widział się od strony fasady oficjalnej. Nie dostrzegał, że podczas gdy w aspiracjach swych dociągał się do miary ideału, sam jest w rzeczywistości swojej wiecznie niegotowy, spartaczony, łatany i niedociągnięty. Cała nędzna krawiecyczna jego formy szytej grubym ścięciem uchylała się jego uwadze. Gombrowicz daje nam inwentarz tej podwórzowej strony, tej oficyny naszego ja — inwentarz zdumiewający. W salonie na froncie odbywa się wszystko etykietalnie i formalnie, ale w tej kuchni naszego ja, za kulisami oficjalnej akcji, doprawia się gospodarkę najgorszej konduity. Niema tak odpadkowych, przewyciężonych ideologii, tak tandetnych i śmietniskowych form, któreby tu jeszcze zawsze nie miały kursu i nie cieszyły się debitem. Tu okazuje się w całej lichocie struktura mitologii, przemoc ukryta w formach składni językowej, gwałt i rozbój frazesu, potęga symetrii i analogji. Tu odsłania się gruba mechanika naszych ideałów, oparta na dominacji naiwnej dosłowności, na figurach metafor i ordynarnej imitacji form językowych. Gombrowicz jest mistrzem tej śmiesznej, karykaturalnej maszynery psychicznej, którą umie doprowadzić do gwałtownych spięć, do wspaniałych eksplozji w przedziwnej kondensacji groteskowej.

Jak Gombrowicz doprowadza do granulacji plazmoidalne utwory tej mgławicowej sfery, wywołuje je dotykalnie i widzialnie na scenę swego teatru, jest tajemnicą jego talentu. Instrument groteski, który w tym celu konstruuje, groteski grającej rolę lupy, pod którą te imponderabilia nabierają cielesności — powinien stać się przedmiotem specjalnego studjum.

Nie na tem jednak kończy się łańcuch odkryć Gombrowicza. Mieści się w nich jeszcze głęboka diagnoza samej istoty kultury. Skalpel Gombrowicza wydobywa na światło i uwalnia ze splotu zaciemniają-

cych motywów drugorzędnych przewodni motyw kultury, nerw jej i korzeń. Gombrowicz odkrył i docenił w całej pełni kapitalne znaczenie problemu formy. Można powiedzieć za Gombrowiczem, że cała kultura ludzka jest systemem form, w których się człowiek sam widzi i w których ukazuje się człowiekowi. Człowiek nie znosi swej nagości, nie styka się ani z samym sobą, ani ze swoimi bliźnimi inaczej niż za pośrednictwem form, stylów i masek. Cała uwaga ludzka zaabsorbowana zawsze była do tego stopnia stosowaniem form i hierarchij, manipulacją i przesuwaniem wartości, pochłonięta przez merytoryczną stronę sprawy, że sama czynność hierarchizowania, produkowania formy, stała jakoby poza wszelką problematyką. Zasługą Gombrowicza jest, że tę sprawę traktowaną zawsze od strony absolutnej i merytorycznej, od strony treści, ujął od strony genetycznej i rozwojowej. Pokazał embriologię formy. Zidentyfikował wielorakość i całą skalę ludzkich ideologii sprowadził do jednego mianownika i ukazał poza ich wszystkimi postaciami tę samą ludzką substancję. Matecznik zaś tego formatwórstwa umiejscowił w dziedzinie niedostępnej dotychczas oku, tak wątpliwej zdeprecjonowanej i tandetnej, że połączenie tych odległych spraw w jednym spojrzeniu, położenie znaku równości między nimi, musi być nazwane prawdziwym błyskiem jasnowidzenia. Znamy już miejsce, gdzie leży to laboratorium form, ta fabryka sublimacji i hierarchij. Jest niem kloaka niedojrzałości, dziedzina hańby i wstydu, niedopasowań i niedociągnięć, żałosny śmietnik kultury, pełen czerepów, tandetnych, szmacianych i słomianych ideologii, dla których niema nazwy w języku kulturalnym.

Takie odkrycia nie dokonywają się na gładkiej i bezpiecznej drodze czystej spekulacji, beznamiętnego poznania. Gombrowicz doszedł do niego od strony patologii, patologii własnej. Kryzysy dojrzewania, bolesne procesy niedoborów i niedociągnięć przechodzimy wszyscy, ciężej albo lżej, wynosząc z tych tarapatów cięższe lub lżejsze rany, kalectwa i skrzywienia. U Gombrowicza męki okresu dojrzewania, wszystkie jego klęski i wstręty nie zakończyły się taką albo inną formą równowagi, nie uspokoiły się w takim lub owakim kompromisie, ale stały się sobie samym problemem, dojrzałym do samowiedzy, obudziły się do słowa i wyrazu.

Postawa Gombrowicza nie jest postawą bezstronnego, beznamiętnego badacza, książka jego od początku do końca przeniknięta jest żarliwym apostołstwem, gorącym i wojującym wyznawstwem i reformatorstwem. Apostołstwo to jest może jądrem i początkiem książki, na której, jak na pniu, narosły inne części i gałązki. Nie jest łatwo wyłożyć meritum tego apostołstwa, a nie jest łatwo dlatego, że chodzi tu nie o jakiś poszczególny pogląd, doktrynę lub hasło, ale o przebudowę całego stylu życia, o reformatorstwo in capite et membris tak zasadnicze, jakie w tej fundamentalności nie było jeszcze dotychczas podjęte. I znowu myliłby się, kto by sądził, że autor wychodzi z ja-

kichś uogólnień i abstrakcyj. Punkt wyjścia książki jest najbardziej konkretny, osobisty, żywy i palący, jaki sobie wyobrazić można i Gombrowicz programowo podkreśla genezę swego dzieła ze swojej osobistej i określonej sytuacji. Gombrowicz pokazuje że wszelkie „zasadnicze” i „ogólne” motywy naszego postępowania, wszelkie żęglowanie pod flagą ideałów i haseł, nie wyraża nas całych i prawdziwych, ale zawsze tylko częśćkę, w dodatku przypadkową i nieistotną. Gombrowicz przeciwstawia się zasadniczemu prądowi kultury, który polega na tem, że człowiek wyżywa się zawsze na rachunek jakichś wyłonionych z siebie części, ideologii, frazesów i form, zamiast żyć sobą, swoją integralną całością, swem żywym jądrem. Człowiek uważał się zawsze za niedoskonałą, nieważną doczepkę do swoich treści kulturalnych. Gombrowicz chce przywrócić temu stosunkowi właściwe proporcje, odwraca go dogóry nogami. Pokazuje, że niedojrzali, śmieszni, „chłystkowaci”, walczący w nizinach konkretności o swój wyraz, parający się ze swą małością, jesteśmy bliżsi prawdy, niż namaszczeni, wysublimowani, dojrzały i zakończony. Dlatego cofa nas do form niższych, każe nam raz jeszcze przerobić, przewalczyć, przepracować całe nasze dzieciństwo kulturalne, wejść w dziecko, nie żeby w tych ideologiach, coraz to niższych, prymitywniejszych i bardziej tandetnych, widział zbawienie, ale dlatego że na tej drodze rozwojowej, którą człowiek przeszedł od stanu naiwności pierwotnej, człowiek rozrzucił, trwonił i zatracił skarb żywej swej konkretności. Wszystkie te formy, gesty i maski obrosły człowieczeństwem, zawarły w sobie szczątki nędznej ale konkretnej i jedynie prawdziwej doli ludzkiej, i Gombrowicz rewindykuje je z powrotem, odbiera, odwołuje je z długiego wygnania i rozproszenia. Im bardziej demaskują się i kompromitują te maski formy i ideały, im ich mechanizm odsłania się grubszy, przejrystszy i skandaliczniejszy, tem wyraźniej wyzwała się człowiek z form które go więziły. Stosunek Gombrowicza do form nie wygląda jednak tak prostolinijnie i jednoznacznie, jakby to z tego przedstawienia wynikało. Ten demonolog kultury, ten zarząty tropiciel kłamstw kulturalnych, jest im zarazem w jakiś dziwny sposób zaprzeczany, rozmiłowany w ich tandetnym uroku patologiczną i nieuleczalną miłością. Jest to miłość do ludzkiego, do śmiesznej, nieudolnej i wzruszającej w swej bezradności kreatury, nie mogącej sprostać nienasyconemu wymagającej formie. Niedopasowania, potknięcia i kalambury formy, tortury człowieka na jej prokrustowym łożu, ekscytują go i pasjonują namiętnie.

Ale jakże chudy i suchy, jakże ubogi jest szkielet tej problematyki wypruty z żywego organizmu „Ferdurdurke”. Jest to zaledwo jeden przekrój przez żywą i kłębiącą się masę jego ciała, jeden z tysiąca aspektów tego tysiąckrotnego stworu. Nareszcie natrafiamy tu na intelekt samorodny i z pierwszej ręki, nie napchany gotowymi koncepcjami. Gdziekolwiek zanurzymy rękę w mięsz dzieła, czujemy potęż-

ną muskulaturę myśli, kłęby i gnaty atletycznej anatomji, nie nadrobionej watą i pakułami. Książka ta pęka od nadmiaru idei, przelewa się od energii twórczej i burzącej.

Jakież są konsekwencje, które Gombrowicz wysnuwa ze swoich wglądów dla praktyki życiowej i literackiej? Gombrowicz lekceważy formę indywidualną, natrząsa się z jej karkołomnych wysiłków zakotwiczenia się w rzeczywistości. Żadne rodowody, żadne alibi przed jakimś forum merytorycznym i absolutnym nie ratują jej w jego oczach. Ale ten pozytywista i czciciel faktu wybacza jej wszystko, jeżeli wykaże się skutecznością, powodzeniem, jeżeli zdołała się ostać i utrzymać w intermonadycznym medjum, które nazywamy opinią. Forma dostępuje wtedy na chwilę swej beatyfikacji. Powodzenie jest najwyższą instancją, bezapelacyjnym sprawdzianem wszelkiej ludzkiej wartości. Gombrowicz ma niezmierny szacunek dla tej instancji, choć zna jej skład i substancję, choć wie, że jest ona grubą przeciętną z sądów ixa i ypsylona, ordynarną miazgą tuzinkowych i ograniczonych mniemań Pawła i Gawła. A jednak — wykazuje Gombrowicz — niema innej i wyższej instancji sprawdzającej, i ona to właśnie wykonywa prawem kaduka jurysdykcję nad wartością naszych osobistych ofert, do niej zmierzają nasze najskrytsze tęsknoty, na niej załamują się nasze żarliwe aspiracje. Przy całej lichocie swej konduity jest ona pierwowzorem mocy wartościującej, i do niej sprowadzają się w ostatecznej linii wszystkie absolutne kryteria i instancje. Ona nas ogranicza i naciska, w nią wpiera się nasza forma, do niej przylega kształt, który sobie usiłujemy nadać.

Przedmowa do „Filidora“ wskazuje jednak przy całym pozytywistycznym kulcie faktu na zachwianie się tej ideologii, na sprzeniewierzenie się jej, gdyż tu Gombrowicz ogranicza ją, wyjmuje pewne sprawy spod jej jurysdykcji. Gombrowicz nie powinien był przestraszyć się swej jednostronności. Każdy wielki system myślowy jest jednostronny i ma odwagę swej jednostronności. Koncesja, jaką Gombrowicz czyni dla pisarzy „pierwszorzędnych“, jest czysto formalna, nie należało tu wprowadzać podwójnego kryterjum. Wyjątki, jakie robi Gombrowicz, osłabiają kredyt jego teorii także w odniesieniu do faktów, które poddaje jej jurysdykcji. Gombrowicz żąda mianowicie, żeby motywy osobiste pisarza skłaniające go do pisania — a są nimi zawsze według jego śmiałego twierdzenia kwestje przeforsowania swojej jakości przed forum opinii — przestały być podziemną, wstydliwą i w ukryciu działającą sprężyną jego działalności, transponującą swą energję w całkiem obce i dalekie treści, ale stały się prosto jawnym tematem jego twórczości. Daży on do obnażania całego mechanizmu dzieła sztuki, jego związku z autorem i daje on istotnie wraz z postulatem i sprawdzenie tej możliwości, gdyż „Ferdydurke“ nie jest niczem innym jak kapitalnym przykładem takiego dzieła. Uważa on to za jedyną drogę wyjście z ogólnego i beznadziejnego zakła-

mania, na drogę uzdrowienia literatury przez potężny zastrzyk realiów. Ale cóż znaczy pisarz „drugorzędny”? Mistrz relatywizmu i wyznawca konkretności, jakim jest Gombrowicz, nie powinien być operować tego rodzaju zamkniętymi kategorjami, skazywać na prestabili-zowaną drugorzędność — mocą definicji. Gombrowicz wie, jakimi drogami chadzają karjery wielkich pomysłów i dzieł, wie że wielkość bywa wynikiem szczęśliwej konjunktury, zbiegu wewnętrznych i zewnętrznych okoliczności. Toteż lojalności Gombrowicza wobec wielkich duchów ludzkości nie należy brać zbyt poważnie. Warto przypomnieć bez ujemy dla niewątpliwej oryginalności „Ferdydurke”, że książka ta miała poprzednika może nawet autorowi nieznanego, przedwczesną i dlatego nieskuteczną „Pałubę” Irzykowskiego. Może dopiero teraz sytuacja na tym odcinku frontu dojrzała do generalnego ataku.

Krytyk skazany jest na przekładanie dyskursywnej prozy „Ferdydurke” na język konwencjonalny, popularny. Ale w tem obnażeniu, w tem wypreparowaniu suchego szkieletu jakżeż zetraca całą nieskończoną perspektywiczność, wieloznaczność i ekspansywność metaforyczną, która ideom Gombrowicza nadaje wartość mikrokosmosu, uniwersalnego modelu świata i życia!

Bruno Schulz

PRZEGLĄD TEATRALNY

Dwudziestopięciolecie Teatru Polskiego, to ważna data w dziejach kultury polskiej. Twórcy i inspiratorowi Teatru dyr. Arnoldowi Szyfmanowi, złożono przy tej okazji zasłużone hołdy. Teatr Polski w ciągu swego dwudziestopięcioletniego istnienia wyróżniał się wysokiej klasy repertuarem: grał przez cały czas zarówno arcydzieła poetyckie jak najciekawszych autorów zagranicznych, pozwałał się też wypowiedzieć wielu autorom polskim. Dzięki temu i dzięki nieznanemu przed nim w Warszawie przepychowi i artystyczności wystawy stał się on reprezentacyjnym teatrem stolicy. Teatr Polski pierwszy zapewnił należyte (czasem aż przesadne) miejsce reżyserowi, miał wysokie ambicje inscenizacyjne, podniósł wspaniałym wysiłkiem sceniczne rozwiązania malarskie i dekoracyjne do wyżyn prawdziwej sztuki i dotąd jeszcze pod tym względem jest jednym z pierwszych teatrów w Europie. Jedynym może zarzutem jest to że w Teatrze Polskim nie umiano stworzyć własnego stylu gry aktorskiej, jej wyższej szkoły. Nie znaczy to żeby Teatr Polski w ciągu dwudziestu pięciu lat tej pracy nie miał dobrych aktorów, przeciwnie, miał nawet najlepszych, ale nie był ani wychowawcą, ani nauczycielem. Gwiazd wydał znikomą ilość. Może przyczyną tego były zresztą warunki niezależne od teatru, biorące źródło ze zmienionych form życia zbiorowego. Tak czy inaczej, Teatr Polski jest wynikiem wytrwałej woli, niestrudzonej pracowitości, wybitnego poczucia artystycznego i szlachetnej pasji. Święto Teatru Polskiego stało się uroczystością świata kulturalnego Warszawy.

Wystawiona z tej racji „Noc listopadowa” miała wszystkie cechy widowiska reprezentacyjnego: hieratyczną dostojność i trochę martwą wspaniałość. Ten poemat dramatyczny ma urodę dostępną raczej dla fachowców literackich niż dla publiczności (ciekawa rzecz, co właściwie przy daleko posuniętej demokracji widza teatralnego, przeciętna publiczność z tego rozumie?), toteż inwencja reżyserska musi zabawić widza, dla którego sam tekst jest zbyt zawiły i ciemny. Ale niema rady, teatr nie może sprostać wizji poety, toteż „Noc listopadowa” jest piękniejsza w czytaniu niż na scenie. Jedną z jej nieśmiertelnych piękności jest splecenie świata starożytnego ze światem polskim, poufałe obcowanie bogów greckich z ludźmi. Co z tego ostaje się na scenie? Powstało nawet zasadnicze pytanie, czy słusznie zrobił p. Węgierko umieszczając świat bogów na innym planie, robiąc z niego świat duchów, jakiś seans metapsychiczny. Oczywiście, nie taka była intencja poety, dla którego oba światy zlewały się w nierozdzielna całość. A jednak wydaje mi się, że p. Węgierko miał słuszność. Bo znów żadna siła złudzenia nie przekona nas, że z dwóch aktorów stojących obok siebie w pełnym świetle, jeden jest bogiem a drugi człowiekiem. Nie widzimy dwóch światów ocierających się o siebie, ale zwykłych ludzi z których część zabawia się w maskaradę grecką. Wydaje mi się, że teatr nie miał innej drogi niż zupełnie odrealizować bogów, pozbawić ich ciała, zrobić z nich właśnie duchy, aby narzucić widzowi wizję dwóch współistniejących rzeczywistości. Inna rzecz, że we własnym pokoju, z książką w rękę, widzimy to wszystko poetycznie i zgodniej z zamierzeniem poety. Zresztą przedstawienie było w granicach możliwości bardzo piękne. Z aktorów najlepiej grali Żeleński, Borowska i Kreczmar.

Gdyby nie było teraz mody na przeszłość stylową, a zwłaszcza na okolice magicznego 1900 roku, wątpię czy kogokolwiek mogłoby zainteresować wznowienie „Gęsi i gąsek”. Komedyjka ta robi zresztą wrażenie jakby ją napisano jeszcze sto lat wcześniej. Jeżeli się zważy, jacy pisarze i jak tworzyli u nas i zagranicą w czasie powstania „Gęsi i gąsek”, musimy je uznać za gaworzenie nie tyle dziecięcia ile zapóźnionego nieco w rozwoju prostaczka. Nic dziwnego, że współczesna krytyka była dla Bałuckiego surowa. Ale dziś przyszła mu z walną pomocą stylowość, i bawimy się jego sztukami, jak bawimy się oglądając stare ilustracje, stare roczniki pism, stare listy przewiązane wstążeczką. I choć niema powodu oceniać z tej racji Bałuckiego powyżej jego wartości, może słusznie wznawiają jego komedję, bo wszelka konfrontacja epok jest i zdrowa i pouczająca, bo stwarza się przez to pewna ciągłość tradycji, choćby dziś już nam jak najbardziej obcej, bo wreszcie wątle i nikle wdzięczki stylizacji bywają jednak przyjemne. Oczywiście, kiedy się patrzy na „Gęsi i gąski”, nasuwa się przekorna myśl coby to było gdyby to zagrano jako satyrę a bohaterów ucharakteryzowano (jak na to zresztą zasługują) na matofów i durniów. W kierunku takiej groteski poszedł kiedyś Jaracz, wystawiając „Dom otwarty”, i stworzył niezapomniane widowisko. W Teatrze Narodowym zagrano Bałuckiego tradycyjnie. Cwiklińską obsadzono niewłaściwie w przykrej roli starej jędzy. Doskonały był Zelwerowicz. W końcu sztuki mała gąska, pobudzona zazdrością, nawraca się sercem do tego kogo jej przeznaczył autor, do skromnego nauczyciela gimnazjalnego i rzekomego poety. Następuje happy end, przyczem współczujemy jej niemało, bo czemu będzie jej życie? Ponure mieszkanko od podwórza, z niewietrzonym i nieużywany salonem, pluszowe meble i co rok rachityczne dziecko. O ileż jaśniejszej widziała w tym samym czasie Zapolska rzeczywistość!

Epidemia wznowień, grasująca w naszych teatrach, skłoniła dyrekcję Teatru Narodowego do wystawienia „Cyрана de Bergerac”. Jedno tylko można dziś powiedzieć o tym nieprzyjemnym utworze: że stał się dość aktualny, co nie znaczy iż zyskał jakąś nową prawdę wewnętrzną, jakąś nową wartość. Wątpliwe cnoty rycerskie Cyрана, terroryzowanie kogo się da, butne gadulstwo, niewyraźna sytuacja erotyczna, cały ten rozbuchany kompleks niższości, wyładowujący się brutalnie, tworzą typ dość częsty dzisiaj i modny. Wyższość Cyрана nad wieloma dzisiejszymi wodzami polega może tylko na tem, że jest to człowiek z erudycją i kulturą umysłową, ceniący wolność słowa i twórczości. Cyrano pobudza dziś raczej do smutnych refleksyj; pod jego łatwą brawurę, która zdobyła tej sztuce ongi sukces, podkładamy aż nazbyt znajomą treść. Wielkie to szczęście dla Francji, że jej Cyranowie pozostawali na drugim planie i grali drugie role.

Oglądaliśmy też dwie współczesne sztuki francuskie, sztuki nierównej zresztą wartości. „Asmodeusz” Mauriaca, grany w Teatrze Małym, choć jest pierwszą a może i ostatnią sztuką tego pisarza i nie należy do utworów szczególnie udanych, ma jednak znamiona poważnej literatury, reprezentuje klasę pisarską, podczas gdy „Serce” Bernsteina, to zwykły fabrykat dostawcy teatralnego. Wystawienie tej sztuki mogłoby być usprawiedliwione jedynie przez bardzo dobrą obsadę, a tej u nas nie znalazła. Zabawna, ale tylko mimowoli, jest w „Sercu” awantura między poróżnionymi małżonkami, w której najwyższym argumentem męża, aby zjednać sobie zakochaną w innym mężczyźnie żonę, jest: „Dam ci dziecka”. I żona natychmiast wyrzeka się swoich niewczesnych zamiarów, rozwodów, romansów, jak gdyby jej mąż miał monopol i zastrzeżone prawo wyłączności na wyrób dzieci. Ale we Francji słowo dziecko jest magiczne.

„Asmodeusz”, to typowo mauriacowska historia z groźnym demonem kryjącym się pod niepozorną i nieszkodliwą postacią. Ten tylko z nazwy zresztą katolicki pisarz jest właściwie czystej krwi satanista. Jego świat kłębi się od grzechu, zbrodni, złowieszczych knozań, czarnych jak noc intryg. Nikomu w nim ufać nie można, ani kuchcie, ani stróżowi, ani matce, ani mężowi. Z każdego czoła wyrastają malutkie różki. Wśród tych oparów siarki, smoły i odorów djabelskich, wirują od czasu do czasu małe bibułkowe aniołki, z konwencjonalnie na-

malowaną buzią i chabrowem spojrzeniem, aniołki trzepiące pobożne pacierze i zapadające w religijno - erotyczne ekstazy. Djabeł czyha jak pajak na te motylki i oblizuje się lubieżnie. Taki jest mniej więcej świat tego pisarza, który w swoim satanizmie ma zresztą wiele siły i odkrywczości.

„Asmodeusz” obfituje w słabizny, ale ma także sporo momentów interesujących. Mały domowy demon, pan Couture (aktorzy nasi nazwisko jego wymawiali z uporem „Kutjur”), usiłuje usidłać bogatą obywatelkę ziemską, wdowę z kilkorgiem dzieci. Jest brzydki, niezgrabny, głupi, pospolity, ale ma siłę chcenia i dążenia z manjackim uporem w jednym kierunku, toteż godzina jego musi przyjść, a on już potrafi ją uchwycić. Na prowincji i na wsi, wśród bezbarwnego życia bez zdarzeń, można sobie wyobrazić tego rodzaju skupione, skondensowane wole, zamierzenia, do których dąży się latami, namietności marynującej się całe życie w ukryciu. Ta rola, to mocna strona sztuki, podczas gdy rywalizacja matki z córką nie wychodzi poza banalność, wielokrotnie już oglądaną na scenie. Obsadzono i grano sztukę fałszywie z wyjątkiem aktorki Kurylukówny, która potrafiła uprawdopodobnić swego aniołka.

U Jaracza wystawiono dość błahą sztukę francuską Gehri p. t. „Szóste piętro” i grano ją koncertowo. Na poddaszu kamienicy gnieźdzą się różni lokatorzy; oglądamy ich w łzach i smutkach, zabawach i radościach. Miły sentymencik, miły humorek, miła demokratyczność, ale w sumie nie byłoby o czym mówić gdyby nie fenomen gry aktorskiej, który mnie zawsze zastanawia w tym teatrze. Czy to reżyserja Perzanowskiego, czy wspaniały artyzm Jaracza, zaraża wszystkich, niby nagminną chorobą, talentem. Każdy aktor w „Ateneum” wydaje się stworzony dla swej roli, a przecież zespół jest mały, wszyscy muszą stale grać, więc niewłaściwości obsady powinnyby razić tu więcej niż gdziekolwiek. Tymczasem jest przeciwnie: wszyscy zdobywają się na najwyższy wysiłek wyjścia ze swej skóry i wyrażenia tej postaci którą chciał autor, wnikają całkowicie w intencje autora. W porównaniu z większością naszych aktorów, którzy uporczywie grają wciąż siebie, często w najzupełniejszej sprzeczności z tekstem sztuki, „Ateneum” jest prawdziwą oazą. Pani Perzanowska, to wspaniała reżyserka. Na wyborem tle rozkoszny był Jaracz w roli starego grafomana.

Pozatem „Nowa Dalila” Molnara w Teatrze Małym, komedyjka głupawa, którą się zarówno wystawia jak ogląda dla zabicia czasu. Obsadzona nad podziw niewłaściwie: p. Mila Kamińska, światowa, wytworna, inteligentna, słowem, dama, gra w niej żonę podrzędnego restauratora, p. Woskowski, sympatyczny flegmatyk i intelektualista, odtwarza rozbyczzonego Węgra, milutka p. Wysocka kreuje jakiegoś demonka od siedmiu boleści.

Ogromny urodzaj na demony różnego kalibru był w tym kwartale. Oto jeszcze jeden: w Teatrze Kameralnym jadowita dziewczynka rujnująca życie dorosłym — „Niewiniątka”. Widzieliśmy tę historję w kinie, gdzie mała psychopatka oskarżyła dwie nauczycielki, prowadzące szkołę, o niemoralność i zdołała zniszczyć cały zakład i omal nie zdruzgotać paru istnień. W kinie był happy end, i mały djabeł, genialnie wprost grany przez dziecko, został ukarany. W teatrze rzecz kończy się katastrofą, ale też sztuka, jak się okazuje, jest podlana obficie sosem lesbijskim, który cnotliwi Amerykanie starannie usunęli. W sztuce kolidują ze sobą dwa interesujące zresztą motywy, z których każdy osobno jest materiałem na dramat: miłość jednej nauczycielki do drugiej i osobno studjum psychopatycznego dziecka. Oba te dynamiczne motywy zderzyły się ze sobą, w rezultacie powstał chaos zagadnień, wyrażony w nieudolnej formie scenicznej.

U Malickiej, w teatrze gdzie wszystko ma powodzenie, wystawiono curiosum naiwności, staroświecczynny, niedołęstwa scenicznego i banału, „Jastrzab wśród gołębi” J. A. Hertza. Można to było grać pod kątem absurdu — ferdydurkizmu, ale grano poważnie, i publiczność się nie śmiała. Co się w głowach tych widzów dzieje, trudno zrozumieć; w takich chwilach recenzent czuje się zupełnie bezradny.

Irena Krzywicka

C

L I S T Y
FRYDERYKA
CHOPINA

W OPRACOWANIU

HENRYKA OPIEŃSKIEGO

400 STRON DRUKU, 23 ROTOGRAWJURY

CENA ZŁ. 25.-, W OPRAWIE ZŁ. 30.-

N A K Ł A D

JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

i „WIADOMOŚCI LITERACKICH”

SKŁAD GŁÓWNY

KSIĘGARNIA J. PRZEWORSKIEGO

WIADOMOŚCI
LITERACKIE

W I E L K I
I L U S T R O W A N Y
T Y G O D N I K
L I T E R A C K I

WYCHODZI W FORMACIE
DUŻEJ GAZETY CO WTOREK
8-12 STRON DRUKU

CENA EGZEMPLARZA 80 gr.

PRENUMERATA KWARTALNA WRAZ ZE „SKAMANDREM” ZŁ. 10.50

ADMINISTRACJA WYDAWNICTWA

KRÓLEWSKA 13, TEL. 223-04. KONTO W P.K.O. 8515